

NORA ROBERTS



Szczypta
magii

NA ZAWSZE

*Moim siostronom w magii:
Ruth, Marianne i Jill*

1

To dla ciebie – powiedziała staruszka za ladą.

Allena przyglądała się uważnie wisiorkowi, który kołysał się lagodnie na długim srebrnym łańcuszku. Skromny budżet nie pozwalał jej na dokonywanie zakupów pod wpływem impulsu, a takie oczywiście są najprzyjemniejsze i najbardziej satysfakcjonujące. Ale właśnie z powodu owej skłonności do działania pod wpływem impulsu nie stać jej było na dogadzanie sobie.

W ogóle nie powinna była tu wchodzić, kto jednak mógłby się oprzeć małtkiemu sklepikowi nad brzegiem morza w uroczej irlandzkiej wiosce? Zwłaszcza takiemu, który się nazywał „Amulety i Eliksiry”.

Na pewno nie Allena Kennedy.

– Jest piękny, ale ja...

– Był tylko jeden taki. – Oczy staruszki miały barwę spłowiałego błękitu, jak morze, które o rzut kamieniem od progu sklepu rozbijało się o falochrony. Stalowosiwe włosy upięte w kok opadały ciężko na kark.

Miała na szyi mnóstwo fascynujących łańcuszków i zawieszek, nic jednak nie dało się porównać z wisiorkiem, który trzymała w kościstych palcach.

– Tylko jeden?

– Został wytopiony w Kotle Dagdy w ogniu letniego przesilenia i wyrzeźbiony przez Merlina. Tego, który był u króla Artura.

– Merlina?

Allena z zapalem pochłaniała opowieści o magii i pradawnych bohaterach. Jej przyrodnia siostra Margaret prychnęłaby tylko i stwierdziła, że to głupoty.

– Czarodziej wielkiego króla wędrował w dawnych czasach po Irlandii. To tutaj znalazł Taniec Olbrzyma. Zapragnął ofiarować go Arturowi i przez Morze Irlandzkie przewiózł do Brytanii. Zabierając magię z tej ziemi, trochę jej wszakże zostawił. – Nie odrywając wzroku od Alleny, staruszka wprawiała wisiorek w ruch. – Oto ona, należy do ciebie.

– Ale ja naprawdę nie mogę... – Allena umilkła, wpatrzona w wisiorek. Miał kształt długiego owalu, srebro było nieco zmatowiałe i pokryte nalotem, pośrodku zaś znajdowała się wygrawerowana promienista gwiazda.

Wisiorek zdawał się chwytać szare, przefiltrowane przez chmury światło, które wpadało przez niewielkie okno do sklepu, więził je i wzmacniał, tak że błyskało hipnotyzująco. Odnosiło się wrażenie, że gwiazda drży.

- Chciałam tylko się rozetrzeć.
- To oczywiście, bo jak nie będziesz patrzeć, to nic nie znajdziesz. Przyślasz się rozetrzeć, przyjechałaś aż z Ameryki.

Przyjechałam tu, upomniała się w duchu dziewczyna, by pomóc Margaret w prowadzeniu wydziału. Należąca do siostry firma pod nazwą Cywilizowana Przygoda odnosiła spore sukcesy - i panował w niej surowy reżim. Wszyscy jednak powtarzali, że Allenie potrzeba trochę rygoru. Margaret postawiła sprawę jasno, brutalnie jasno, że to dla młodszej siostry ostatnia szansa.

- Musisz być zorganizowana, przygotowana i punktualna - powiedziała, siedząc za biurkiem na wysoki półysk w swym idealnie przestawionym i idealnie uporządkowanym gabinecie w Nowym Jorku. - Jeśli ci się uda, to może jeszcze jest dla ciebie jakaś szansa. W przeciwnym wypadku umyłam ręce, Leno.

Nie byłoby to pierwszy raz w jej życiu, gdy ktoś umywał ręce. W przeciągu ostatnich trzech lat Allena straciła trzy posady. No dobrze, cztery, choć właśnie tych okrotnych dwóch dni, które spędziła w charakterze asystentki siostry tesciowej wujka, nie wydawało się konieczne.

To nie było tak, że Allena specjalnie roziała atrament na białą suknię swojej szefowej, pochodzącą od Valentina. Ale gdyby ta Smoczyca Erykiew nie upierała się, by całą korespondencję prowadzić wyłącznie wiecznym piórem, nie byłoby okazji do rozlania atramentu.

Nie w tym jednak rzecz. Straciła tamtą posadę i wszystkie pozostałe, a teraz Margaret dała jej szansę udowodnienia, że nie jest kompletną kretynką. Allena obawiała się jednak, że nią jest.

- Musisz znaleźć własne miejsce.

Zmusiła się, by oderwać wzrok od wisiorka i popatrzeć na staruszkę. Jej oczy sprawiały wrażenie mądrych i dobrych.

- Może nie mam własnego miejsca.

- Och, dajże spokój, wszyscy je mamy, są jednak tacy, którzy z trudem przystosowują się do świata takiego, jakim widzą go inni. Ty szukałaś dotąd w złych miejscach. Aż do teraz. Należy do ciebie - powtorzyła kobieta.

- Naprawdę mnie nie stać - powiedziała przepraszająco, wyciągając dłoń, by tylko dotknąć wisiorka. Poczuła, jak od srebra bije ciepło, i ogarnęła ją straszliwa tęsknota. Po kręgosłupie przebiegł dreszcz, coś ciepłego przyniosło serce.

Nie zaszkodzi, jeśli go przymiery. Na pewno nie stanie się nic złego, jeśli zobaczy, jak ten wisiorek wygląda na jej szyi, jeśli poczuje jego dotyk.

Jak we śnie, wzięła od staruszki łancuszek i zapięła go na szyi. Brzemie spadło z jej serca. Na moment światło wlatujące przez okno nabrało mocy, oświetliło pojemniki i słoje z ziołami oraz dziwne kamyki, których pełno było na polkach i blatach.

W jej myślach pojawiły się nagle dziwne obrazy, zobaczyła rycerzy i smoki, gwałtowny wiatr unoszący wzburzoną wodę i kamienny krąg, samotny pod czarnym, rozszalałym niebem.

I był tam cień, mężczyzna stojący nieruchomo, jakby na coś czekał. W swym sercu Allena czuła, że czeka na nią jak nikt w przeszłości i w przyszłości. Będzie na nią czekał wечно.

Zamknęła wisiorek w dłoni, przesunęła kciukiem po gwieździe. Przepływała przez nią fala radości tak czystej jak promienie słońca. Ach, pomyślała, naturalnie, że należy do mnie. Tak jak ja należę do niego.

- Ile to kosztuje? - usłyszała własny głos, z góry wiedząc, że cena nie będzie wysoka.

- Dziesięć funtów, na dobrą wroźbę.
- Dziesięć? - Allena zniechęciła się dlonią wyciągniętą po portmonetkę. - Ależ na pewno jest wart o wiele więcej. - Królewski okup, zakłęcie czar-noksiężnika, marzenie kochanka.

- Oczywiście, że tak. - Mimo to staruszka nadal domagała się tylko jednego banknotu. - Tak samo jak ty. Ruszaj dalej w swą podróż, chud, i sama się przekonaj.

- Dziękuję.

- Dobra z ciebie dziewczyna - powiedziała kobieta, gdy Allena szła w stronę drzwi. A gdy je zamknęła, uśmiech staruszki stał się weselszy i bardziej przebiegły. - On nie będzie zadowolony, ale ty wbijesz mu do głowy trochę rozumu, nim nadejdzie noc letniego przesilenia. A gdyby potrzebna ci była drobna pomoc, hai, udzielię ci jej z przyjemnością.

Stojąc na chodniku, Allena wpatrywała się w falochron, port i szereg chat, jakby budziła się ze snu. Dzwonne, pomyślała, czy to nie było cudownie dawne? Znowu przesunęła palcem po wisiorku. Jedyny egzemplarz, wytopiony w Kotle Dagdy, wyrzeźbiony przez Merlina.

Margaret przypuszczała, że pogarda i powie, że chytra starucha ma w magazynie tuzin takich wisiorków, które wciska turystkom o parasolach móżdżkach. I jak zawsze przypuszczała, że będzie miała rację. Ale to bez znaczenia.

Allena miała wisiorek i związaną z nim wspaniałą historię, a wszystko za jedyne dziesięć funtów. Zrobiła niezły interes.

Uniosła głowę i wykrzywiła się, widząc niebo ciężkie od szarych i grubych chmur. Margaret nie będzie zadowolona, że pogoda nie chce się dostosować do jej planów na dzisiaj. Starannie przygotowała ten rejs promem na wyspę.

W czasie rejsu serwowane będą herbata i drożdżówki, a Margaret wygłosi dla dwudziestoosobowej grupy wykład ukazujący historię miejsca, które mają zwiedzać. Zadaniem Alleny było spisywanie uwag siostry i rozdawanie wydruków z planem zajęć.

Pierwszym przystankiem będzie ośrodek informacji turystycznej. Zwiędzą znajdujące opactwo i przyległy cmentarz, na co Allena z góry się cieszyła, a potem zjedzą lunch na świeżym powietrzu; hotel dostarczy jedzenie w piknikowych koszykach. Przerwa miała trwać dokładnie sześćdziesiąt minut.

Następnie zaplanowano zwiedzanie przypominających ulę chat i oczwielkie pogadankę Margaret o ich powstaniu i przeznaczeniu. Grupa dostanie godzinę na samodzielny spacer po wiosce, sklepach i plaży, nim punktualnie o wpół do piętej wszyscy spotkają się w odrestaurowanym zamku na podwieczorek oraz na następnym wykładzie dotyczącym tego miejsca.

Praca Alleny polegała na utrzymywaniu w porządku wszystkich notatek siostry, pomocy przy prowadzeniu grupy, pilnowaniu cennych przedmiotów,

rozdzielaniu przesyłek, jeśli jakieś przychodzą, i gorliwym wypełnianiu wszelkich innych niewiedziących obowiązków.

Dostawała za to rozsądne zdaniem Margaret wynagrodzenie. A także, co istotniejsze, miała okazję zdobyć doświadczenie i umiejętności zawodowe, które – rodzina miała taką nadzieję – nauczą ją dojrzałości i odpowiedzialności. Zresztą w wieku dwudziestu pięciu lat powinna już mieć obie te cechy.

Nie było sensu tłumaczyć, że Allena nie chciała stracić się kobiecie odpowiedzialną i dojrzałą, jeśli przez to miałaby się zmienić w następną Margaret. Była na pierwszej wyliczce dopiero czwarty dzień, a już donośny wewnętrzny głos domagał się, by brała nogi za pas.

Z poczucia obowiązku słumiła objawy buntu i spojrziała na zegarek. Zaskoczona nie mogła oderwać od niego wzroku.

To niemożliwe! Zamierzała spędzić w sklepie tylko parę minut, wykluczona, że minęła godzina. O Boże, przecież spóźni się na prom!

Margaret ją zamorduje.

Ścisnąc pasek torebki, ruszyła biegiem.

Miała długie nogi tancerki i szczuple ciało. Podeszwy solidnych butów do chodzenia, które kazala jej kupić siostra, z rozmachem uderzały o chodnik, ciężka torba objęła się o biodro. W środku były materiały informacyjne dotyczące Cywilizowanej Przygody i mnóstwo innych rzeczy.

Silny wiatr od morza stawał na sztorc krótkie jasne włosy Alleny, otaczające jej twarz o wyrazistych rysach. W oczach dziewczyny malowało się przerażenie, szare jak chmury na niebie, które szybko zmieniło się w rozpaczę, gdy dotarłszy do portu, zobaczyła odpływający prom.

– Cholera! – Wsunęła palce we włosy i mocno szarpnęła. – To już koniec. Równie dobrze mogę się utopić. – Co na pewno byłoby przyjemniejsze od nagany ogłoszonej przez Margaret lodowatym tonem.

Oczywiście siostra wyrzuci ją z pracy, to nie ulegało wątpliwości. Allena przyzwyczaiła się już do owego skutku ubocznego swoich zawodowych poczynań, tym razem jednak pojeździła na wyspę. Gdyby jakiś

Chyba że... Musi istnieć inny sposób dostania się na wyspę. Gdyby jakiś tam dopłynęła, zdałaby się na ciemną laskę Margaret, harowała jak wół, zrzęgała z wynagrodzenia. Przepraszam. Na pewno uda jej się wymyślić jakiś rozsądny powód, dla którego nie zdążyła na ten przeklęty prom.

Rozejrzała się gorączkowo. W porcie znajdowały się lodzice, a jeśli były lodzice, to byli też ludzie, którzy nimi pływali. Wymyślić łódź i zapłacić, ile żądają.

– Zgubiłaś się?

Przestraszona uniosła głowę, zaciskając mocniej dłoń na wisiorcu. Koło niewielkiej białej łódki stał młody mężczyzna, właściwie jeszcze chłopiec. Na słomianych włosach miał czapkę i przyglądał się Allenie rozesnianymi zielonymi oczyma.

– Nie zgubiłam się, tylko spóźniłam. Miałam popłynąć tym promem. Machnęła dłonią, po czym beztudnie opuszcza rękę. – Straciłam poczucie czasu.

– Cóż, czas nie jest taki ważny w ostatecznym rozrachunku.

– Dla mojej siostry jest. Pracuję u niej. – Pośpiesznie zeszła na brzeg, o który rozbiła się morze. – To twoja łódź czy twojego ojca?

– Tak się składa, że moja.

Łódka nie była wielka, ale dla niewprawnego oka Alleny wyglądała sympatycznie. Musi mieć tylko nadzieję, że można tym zęglować po morzu.

– Mogłbyś zabrać mnie na wyspę? Muszę dogonić prom, zapłacić, ile będzie chciał.

Margaret by się wykrzywiła, gdyby to usłyszała, pomyślała Allena. Teraz jednak targowanie się nie było najważniejsze. Musi wyjść cało z opresji.

– Zabiorę cię, gdzie chcesz. – Oczy mu błysnęły i wyciągnął do niej rękę.

– Za dziesięć funtów.

– Działaj wszystko kosztuje dziesięć funtów. – Allena sięgnęła po portmonek, ale niezadowolony pokręcił głową.

– Nie chodziło mi o pieniądze, szanowna pani, tylko o twoją dłoń. Zapłać, gdy będziemy u celu.

– Och, dziękuję. – Allena ujęła wyciągniętą rękę i przy pomocy mężczyzny weszła do łodzi.

Kiedy odбили od brzegu, usiadła na ławeczce i z ulgą przymknęła oczy. Nieznajomy, pogwizdując, ustawił ster i włączył silnik.

– Jestem ci bardzo wdzięczna – odezwała się Allena. – Moja siostra wpadła w furę. Nie mam pojęcia, dlaczego właściwie się spóźniłam.

Zawrócił łódź wolno i zręcznie.

– A ona nie mogła trochę poczekać?

– Margaret? – Allena uśmiechnęła się na tę myśl. – To w ogóle nie wpadłoby jej do głowy.

Dziób się uniosł i mała łódź nabrała prędkości.

– Ale tobie tak – odpowiedział mężczyzna.

Uradowana, zwróciła twarz do wiatru. Och, to o wiele lepsze od rejsu spokojnym promem i słuchania wykładu siostry. Niemal warte tej ceny, którą będzie musiała zapłacić. I wcale nie miała na myśli pieniędzy.

– Kowisz ryby? – zapytała.

– Kiedy biorą.

– To musi być wspaniałe robić to, co chcesz i kiedy chcesz. I mieszkać tak blisko wody. Lubisz to?

– Tak, lubię. Ludzie nakładają ograniczenia na innych ludzi. Według mnie to dziwne.

– Ja mam okropne kłopoty z ograniczeniami. Nigdy o nich nie pamiętam.

– Łódź podkoczyła wysoko na falach i Allena wybuchnęła śmiechem. – W takim tempie przegoniły prom.

Ja myśl, obraz siebie stojącej na brzegu i triumfalnie spoglądającej na Margaret, gdy prom przybija do portu, tak rozbawiła Allene, że nie zwróciła uwagi na byskawicę rozdzierającą chmury i nagły, złowieszczy ryk morza.

Kiedy zaczęło padać, znowu się rozejrzała, wstrząsnęta, że nie widzi nic prócz wody, wznoszących się i opadających fal oraz zasłony deszczu, która nagle odcięła całe światło.

– Och, to jej się nie spodoba. Jesteśmy już blisko?

- Blisko, tak, blisko. - Mówił śpiewnie, głosem, który kołł nerwy, nim zdążyli dać znać o swym istnieniu. - Widzisz? Tam, na wprost, jest miejsce, gdzie musisz być.

Odwróciła się. Poprzez deszcz i fale dostrzegła ciemniejszy cień łądu, zarysy wzgórz i doliny. Ale wiedziała, już wiedziała.

- Tu jest pięknie - zauważyła.

Wyspa przybliżyła się powoli. Teraz Allena widziała brzeg i wznoszące się stromo klify. Wydawało jej się, że w świetle błyskawicy przez ułamek sekundy dostrzeże jakiegoś człowieka.

Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, łódź dobiła już do brzegu. Chłopak skoczył we wzburzone fale, by wyciągnąć ją na stały łąd.

- Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować. - Zmoczona do nitek, ale ucieszona, wyszła na wilgotny piasek. - Przeczekasz tu burzę, prawda? - zapytała, szukając portmonetki.

- Poczekaam, aż nadejdzie pora odejścia. Znajdziesz drogę, pani. Przez deszcz. Ścieżka jest tam.

- Dziękuję. - Wręczyła mu banknot. Najpierw pójdzie do ośrodka informacji turystycznej, aby ochronić się przed deszczem, poszuka tam Margaret i odprawi pokutę. - Chodź ze mną, postawię ci herbatę. Wyszuszysz się.

- O, przywykłem do wilgoci. Kroś na ciebie czeka. - Pożegnał się i wrócił do łódki.

- Tak, naturalnie. - Allena zerwała się do biegu, zaraz jednak przystanęła. Nawet nie zapytała, jak miał na imię. - Przepraszam, ale... - Kiedy się odwróciła, nie zobaczyła nic prócz fal rozbiłających się o brzeg.

Przerazona, że chłopak płynie w szalejącym sztormie, zaczęła wołać i próbowała go odszukać. Błysnął piorun, teraz bardziej złowrogi niż podniecający, a wiatr uderzał Allene w twarz niczym rozgniewana dłoń.

Kuląc się przed kolejnymi podmuchami, pobiegła po ścieżce w górę zbocza. Musi znaleźć schronienie i powiedzieć komuś o tym chłopcu. Co właściwie sobie myślała, nie nalegając, by z nią poszedł i poczekał, aż pogoda się poprawi?

Potknęła się i przewróciła, ramiąc boleśnie kolano. Z trudem łapała powietrze, podczas gdy świat wokół niej nagle oszalał. Wiatr wył, błyskawice oslepiły, dudniły grzmoty. Allena z wysiłkiem podniosła się na nogi i ruszyła dalej.

Nie odczuwała strachu, a to zbijalo ją z tropu. Powinna być przerażona. Skąd więc brały się podniecenie, radosny deszcz oczekiwania, to uparte przeczucie, że jest u celu?

Musi iść dalej. Coś albo ktoś tam na nią czeka. Jeśli tylko pójdzie przed siebie.

Droga była stronna, padał ulewny deszcz. W którymś momencie zgubiła torbę, ale nawet tego nie zauważyła.

Kolejna błyskawica rozproszyła mrok i Allena ujrzala stojące kręgiem kamienie, wyrastające z nierównego gruntu niczym zatrzymanymi w czasie tancerze. W głowie, a może w sercu, usłyszała zaklętą w nich pieśń.

Z uczuciem podobnym do radości pobiegła ku kręgowi, zaciskając dłoń na wstorku.

Pieśń rozbrzmiewała coraz głośniejszą, crescendo, napełniając ją i obmywając niczym falą.

Gdy postawiła stopę wewnątrz kręgu, błyskawica uderzyła w jego środek, czysta i wyrazna jak płonąca strzała. Allena patrzyła na niebieski płomień wznoszący się niczym wieża, coraz wyżej i wyżej, aż wydało jej się, iż przebiła nisko wiszące chmury. Poczula lodowaty żar w całym ciele, a potem w kościach. Jego moc odbiła się echem w jej sercu.

Zemdlała.

Przez tę burzę był niespokojny. Odnosił wrażenie, że częściowo szaleje w jego wnętrzu, potężna i gwałtowna, czekając tylko, by uderzyć. Nie mógł pracować, nie potrafił się skupić. Nie miał ochoty czytać, rzeźbić, być. I dlatego wrócił na wyspę.

Lub tak sobie mówił.

Jego rodzina od pokoleń posiadała tę ziemię, uprawiała ją i chroniła. Tętaj O'Neillowie z Dolman siłli ziarno oraz rozlewali krew własną i wrogów od początku czasów. I jeszcze wcześniej, w owych mrocznych wiekach, o których opowiadano jedynie w pieśniach.

Wyjazd z wyspy do Dublina na studia był buntem Conala, ucieczką przed tym, co inni beztrosko uznali za jego przeznaczenie. On jednak, jak powie dział ojcu, nie zamierzał być biernym pionkiem w partii szachów swojego przeznaczenia.

Sam wykują swój los.

A mimo to był tutaj, w chacie, w której rodzili się i umierali O'Neillowie, gdzie ledwo kilka miesięcy temu jego ojciec spędził ostatni dzień życia. Twierdzenie, że jest tu z własnego wyboru, brzmiało mało przekonująco w dniu, gdy wiatr wyl i uderzał, a taki sam żywioł zdawał się szaleć we wnętrzu Conala.

Pies imieniem Hugh, towarzyszył ojca w ostatnim roku życia, krążył od okna do okna, nadstawiając uszu i bardziej skomląc niż powarkując.

Cokolwiek miało się wydarzyć, pies to doskonale wyczuwał; jego potężna szara postać snuła się po chacie jak dym. Conal rzucił łagodną komendę po gaelicku i Hugh przyszedł do niego, by wetknąć ogromny lech pod mocną dłoń pana.

Stali i razem patrzyli na burzę, wielki szary pies i wysoki barczysty mężczyzna, a w oczach obu malował się niepokój. Conal poczuł, że zwierzęk drży. Nerwy czy przeczuć? Conal mógł myśleć tylko o tym, że coś jest na rzeczy. Wnagna.

Jest i czeka.

– Do diabła, przekonajmy się, co to takiego!

Nim skończył mówić, pies niecierpliwie skoczył do drzwi. Conal zdjął z wieszaka długą czarną płaszcz przeciwdeszczowy i owinął się nim, przykrywając zniszczone buty oraz sprane dzinsy i czarna bluzę.

Kiedy otworzył drzwi, pies wypadł prosto w szalejącej wichry.

Hugh! Cuir uait!

A choć pies stanął, szluzując się na błocie, nie wrócił do pana. Czekal, nadstawiając uszu pomimo ulewnej deszczu, jakby chciał powiedzieć: spiesz się!

Klnąc pod nosem, Conal ruszył długimi krokami, pozwalając psu wskazywać drogę.

Długie czarne włosy, sięgające niemal do ramion i mokre teraz od deszczu, rozwiewał mu wiatr. Conal miał ostro zarysowaną twarz, wysokie kości policzkowe Celtów, wąski, niemal arystokratyczny nos, idealnie wykrojone usta, które teraz sprawiły wrażenie, że są wykute z granitu, i ciemnoniebieskie, namiętne oczy.

Marka kiedyś mu powiedziała, że to oczy, które choć zbyt wiele już widziały, wciąż chcą zobaczyć więcej.

Teraz patrzyły przez zasłone deszczu w dół, na wzburzone morze. Hugh prowadził go w górę po zboczku. Podczas sztormu było ciemno prawie jak w nocy. Conal znowu zaklął na myśl o własnej głupocie, która nakazała mu wyjść z domu.

Hugh mknął za zakretem ścieżki. Bardziej zirytowany niż przestraszony Conal zawołał go, w odpowiedzi usłyszał jednak gardłowe, wzywające do pospiechu warczenie. Wspaniale, pomyślał. Teraz obaj możemy spaść z klifu i rozbić sobie głowy na skalach.

O mało nie zawrócił, w końcu pies znalazł drogę do domu. Lecz chciał iść dalej, bardzo chciał. Jakby coś popychało go naprzód, ciągnęło wyżej i wyżej, tam gdzie stali kamieniami tancerze, śpiewając w szumie wiatru.

Jakaś część jego psychiki w to wierzyła, ta część, której nigdy nie potrafił do końca uciszyć. Z rozmysłem zawrócił. Pójdzie do domu, rozpalą ogień, usiądzie przy kominku ze szklanką whiskey w dłoni i poczeka, aż burza minie.

Wtedy jednak znowu rozległo się wycie, dzikie i prymitywne, nasuwające myśl o wilkach i niesamowitej postawie kścieżyca. Conalowi przeszło po kręgotłupie dreszcz równie gwałtowny jak to wycie. W ponurym nastroju ruszył w górę, by się przekonać, co zatrzymało psa.

Przed nim wznosiły się polyskliwe od deszczu kamienie, zdawały się niemal żarzyć w aureolach błyskawicy. Do nozdry Conala doszedł zapach – ozon i perfumy. Gorące, słodkie, uwodzicielskie.

Hugh siedział z odrzuconym do tyłu łbem, a gardło falowało mu od wycia. Conal pomyślał, że brzmia w nim triumfalne nuty.

– Kamieni nie trzeba strzec – mruknął. Ruszył w stronę zwierzaka, zamierzając złapać go za kark i zawlec do ciepłej chaty.

I wtedy zobaczył, że to nie przy kamieniach waruje Hugh, tylko przy leżącej pomiędzy nimi kobiecie.

W połowie w kręgu, w połowie poza nim, z ręką wyciągniętą ku środkowi, wyglądała, jakby zasnęła. Przez chwilę Conal myślał, że sobie ją wyobraził, i bardzo chciał, by tak było. Kiedy jednak dotknął jej szyi, poczuł ciepły rytm życia.

Pod jego dotknięciem jej rzesy drgnęły i uniosły się powieki. Stare jak kamienie oczy spojrzaly na niego z nagłą i nieprawdopodobną czujnością. Uśmiechnęła się, unosząc dłoń do jego policzka.

– Włec jesteś – powiedziała i z westchnieniem zamknęła oczy. Jej dłoń zsunęła się z jego twarzy, opadając na zgniecioną ulową trawę.

Majaczy, uznał Conal, najprawdopodobniej to lunatyczka. Kiedy inny wspiałby się na klif w taką pogodę? Ignorując fakt, że sam też to zrobił, odwrócił dziewczynę na plecy, nie widząc innego wyjścia, jak tylko zanieść ją do chaty.

Kiedy brał ją na ręce, dostrzegł na jej szyi wisiorek i w świetle błyskawicy zobaczył wyryty na nim wzór.

Zolałek mu się ścisnął, serce podskoczyło gwałtownie.

– A niech to cholera.

Stał pochylony, z zamkniętymi oczami, w ulęwnym deszczu.

Budziła się wolno, jakby leniwie płynęła przez warstwy cienkich białych obłoków. Cudowne samopoczucie otulało ją niczym poduszka obszyta najdelikatniejszą koronką. Smakując to doznanie, leżała nieruchomo, a promienie słońca igrały na jej powiekach, ogrzewając twarz. Czula dym, przyjemny tony aromatu i silniejszy zapach mężczyzny.

Owa mieszanina sprawiła Allenne przyjemność, a kiedy otworzyła oczy, pomyślała, że nigdy w życiu nie była szczęśliwsza.

To uczucie radości, bezpieczeństwa i zadowolenia trwało tylko kilka sekund, bo zaraz podwierała się z pościeli, zakłopotana, przestraszona, zagubiona.

Margaret! Spóźniła się na prom. Łódka. Chłopak w łódce. I sztorm. Złapał ją sztorm i zablądziła. Nie potrafiła dokładnie sobie przypomnieć, rozdzielić zamazanych obrazów.

Stojące kręgiem kamienie wyższe niż człowiek. Niebieski ogień, który płonął w środku kręgu, lecz pozostawił trawę niekniętą. Dziki ryk wicheru. Cichy śpiew kamieni.

Wyl wilk. A potem pojawił się mężczyzna. Wysoki, ciemny, zły, o oczach tak niebieskich jak ów nieprawdopodobny ogień. Z jego twarzy bił gniew, lecz to jej nie przeraziło. Raczej ją rozbawiło. Jakże to dziwne.

To oczywiście sny. Coś jej się po prostu przysniło. Miała jakiś wypadek.

A teraz znajduje się w cudzym domu, w cudzym łóżku. Pokój jest prosty, pomysłata, rozglądając się wokół siebie. Nie, nie prosty, poprawiła się zaraz, spartański. Białe ściany bez ozdób, gola drewniana podłoga, okna bez firanek. Na umeblowanie składały się komoda, stolik, lampa i łóżko. O ile mogła stwierdzić, poza meblami w pokoju była tylko ona.

Ostrożnie dotknęła głowy w poszukiwaniu ran lub guzów, lecz nie nic znalazła. Z równą delikatnością odsłoniła pościel i oderchnęła z ulgą. Niczaż leżnie od tego, co jej się wydarzyło, na pewno nie odniosła żadnych obrażeń. Zdumiona wstrzymała na chwilę oddech, bo uświadomiła sobie, że jest ubrana tylko w koszulę, która na pewno do niej nie należy. Była to męska ko-

szula ze splowiałej niebieskiej bawełny, z postrzępionymi mankietami i ogromna.

Okry, nic się nie stało. Złapał ją sztorm i najwyraźniej przemokła. Powin-
na być wdzięczna, że ktoś się nią zajął.

Kiedy wstała, przekonała się, że koszula sięga jej prawie do kolan. Wy-
starczająco skromnie. Przy pierwszym jej kroku na progu pokoju pojawił się
pies. Serce podskoczyło jej w pierś, ale zaraz się uspokoiło.

– Ty przy najmniej jesteś prawdziwy. Jakiś ty śliczny! – Wyciągnęła rękę
i z zadowoleniem zobaczyła, że pies natychmiast podszedł i zaczął się łasić. –
I przyjaźliści. Dobrze wiedzieć. Gdzie inni domownicy?

I przyjaźliści. Dobrze wiedzieć. Gdzie inni domownicy?

Z ręką na głowie psa wyszła z sypialni i przekonała się, że wystrój saloni-
ku jest tak samo spartański. Sofa i fotel, niewielki kominek, w którym palił
się ogień, kilka stolików. Z niejaką ulgą zobaczyła swoje ubranie rozwiesz-
ne przed ogniem.

Wciąż było wilgotne, czyli nie spała – nie była nieprzytomna – długo. Rze-
czy rozsządną po tych wszystkich najwyraźniej nierozsządnym posunięciach,
jakie dotąd zrobiła, byłoby odnalezienie wydawcy i podziękowanie mu. Po-
tem poczeka, a kiedy ubranie wyschnie, odszuka Margaret i będzie błażyć ją
o lasce.

To ostatnie okaze się nieprzyjemne i przypuszczalnie bezowocne, ale jest
konieczne.

Przygotowując się w duchu do owego zadania, Allena podeszła do drzwi.

Kiedy je otworzyła, aż krzyknęła z zachwytu.

Blade słońce połyskiwało nad wzgórzami, które z jednej strony ciągnęły
się zielonym pasmem ku horyzontowi, z drugiej zaś ku skalistemu wybrze-
żu. Morze wciąż się burzyło, fale wznosiły się wysokie i piękne. Ogarnęła ją
ochota, by pobiec na sam brzeg i stamtąd obserwować niespokojne wody.

Tuż przy chacie był zarosnięty ogród, w którym kwiaty walczyły o miejsce
z chwastami, tworząc jedną wielką plątaninę. Ich aromat zmieszany z zapachem powietrza i morza sprawił, że zabrakło jej tchu. Wstrzymała oddech,
jakby na zawsze chciała zachować ten ostry, wyjątkowy aromat.

Nie mogąc się powstrzymać, wyszła przed dom z nieodstępującym jej
psem i uniosła twarz ku niebu.

Och, co za miejsce! Czy gdziekolwiek indziej istnieje jakies równie ideal-
ne? Gdyby należało do niej, co rano by tu stawała i dziękowała Bogu.

Pies cicho szczełkał. Allena położyła mu dłoń na łbie i spojrzała na do-
mek z surowego kamienia, ze słomianym dachem i oknami otwartymi na
oświeć.

Już zaczęła się uśmiechać, gdy wyszedł z niego mężczyzna. Na jej widok
pryśnął, odpowiadając spojrzeniem na spojrzenie. Po chwili zaciśnął usta
i ruszył w jej stronę.

Jego twarz zakłócała się przed jej oczyma, głowę wypełnił ryk morza. Oszo-
lomiona, wyciągnęła rękę, w równej mierze do mężczyzny, jak do jego psa.

Zobaczyła, że jego usta się poruszają i wydawało jej się, że słyszy przeklen-
stwo, ale już ogarniała ją ciemność.

Wyglądała jak wróżka, gdy tak stała w niepewnym świetle słońca. Wysoka i smuka, o krótko obciętych jasnych włosach oraz długich zakreconych na końcach rzęsach, które ocieniały migdałowe oczy.

Nie była piękna. Rysy miała zbyt ostre, by nazwać ją pięknoscią, usta natomiast pełne. Mimo to była to twarz intrygująca, nawet we śnie.

Mysłał o tym, gdy przyniósł ją do domu i położył do łóżka. Rozehraniem jej było irytującą koniecznością, którą wykonał z roztańcioną obojętnością lekarza. Kiedy jej rzeczy wyschną, pożegna się z nią i nie oglądając się do tyłu, spróbuje spalić trochę gniewu w pracy.

Doskonałe mu się pracowało, gdy był żywy.

Nie chciał jej tutaj. Nie chciał jej. Powtarzał sobie, że nie będzie jej miał, niezależnie od tego, co postanowiło przeznaczenie.

On sam o sobie decyduje.

Teraz jednak, gdy wyszedł i zobaczył ją stojącą w słońcu, poczuł wstrząs i ogarnęły go pożądanie i pragnienie posiadania, rozkosz i rozpacz.

Zanim zdążył do niej dobiec, zachwiała się na nogach.

Nie zdołał jej podtrzymać. Och, wyobrażał sobie, że gdyby to była baśń, wyrosłoby mu skrzydła u ramion i przefrunąłby przez podwórze, by uratować ją przed upadkiem. Ale to nie była baśń. Dziewczyna osunęła się na ziemię niczym stopiona świeca, gdy znajdował się dopiero w połowie drogi.

Kiedy przy niej stanął, wielkie szare oczy spjrzały na niego oszobotłonie. Kącki jej ust drgały.

– Chyba jeszcze niebył dobrze się czuję – powiedziała ze ślicznym amerykańskim akcentem. – Wiem, że to łatwy do przewidzenia banal, ale muszę z niego skorzystać: gdzie ja jestem?

Wyglądała niezwykle pociągająco, kiedy tak leżała pośród kwiatów. Conal uświadomił sobie bardzo wyraźnie, że dziewczyna nie ma na sobie nic poza jego koszulą.

– Jesteś na ziemi O'Neilów.

– Zgubiłam się, to mój zły nawyk. Burza nadeszła tak nieoczekiwanie.

– Dlaczego tu jesteś?

– Odtoczyłam się od grupy. No, właściwie spoźniłam się – kolejny zły nawyk – i nie zdążyłam na prom. Na wyspę przywiózł mnie jakiś chłopiec łożką. – Allena usiadła. – Mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Na pewno nic

mu nie jest, bo sprawiał wrażenie, że wie, co robi, a poza tym droga była krótka. Czy daleko stąd do centrum informacji turystycznej?

– Centrum informacji turystycznej?

– Muszę dogonić moją grupę, choć nic dobrego mi z tego nie przyjdzie.

Margaret mnie wyleje, na co sobie zresztą zasłużyłam.

– A kim jest Margaret?

– To moja przyrodna siostra. Jest właścicielką Cywilizowanej Przygody.

Pracuję u niej – czy raczej pracowałam przez ostatnie dwadzieścia trzy dni.

– Głęboko oddechnęła i zmusiła się do uśmiechu. – Przepraszam, jestem Allena Kennedy, ostatnia kretyńska. Dziękuję, że mi pan pomógł.

Zerknął na wyciągniętą ku sobie dłoń i z niejakim ociąganiem wziął ją w swoją. Zamiast jednak ją uściśnąć, podniósł dziewczynę na nogi.

– Wygląda na to, że bardziej pani zablądziła, niż się pani wydaje, panno Kennedy, bo na Wyspie Dolmana nie ma żadnego centrum informacji turystycznej.

– Wyspa Dolmana? Ale to nie tak. – Dłoń, którą trzymał, zwiotczała i dziewczyna zmieniła się w kłębek nerwów. – Wcale nie wybierałam się na Wyspę Dolmana. Cholera! Cholera jasna! To moja wina. Nie powiedziałam chłopcu dokładnie, gdzie chce płynąć. Sprawiał wrażenie, że wie, dokąd się wybieram, dokąd chce się dostać. A może sam zablądził w tym sztorcie. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało. – Rozejrzała się i westchnęła. – Ha, czeka mnie nie tylko utrata posady. Zostanę wydziedziczona, wygnana i upokorzona, i to w jeden dzień. Chyba nie mam innego wyjścia jak tylko wrócić do hotelu i przetrzymać awanturę.

– Ale dzisiaj nic z tego.

– Słucham?

Conal popatrzył na morze, przyglądając się uważnie wysokim falom.

– Nie uda się pani opuścić wyspy ani dzisiaj, ani prawdopodobnie jutro.

Sztorm jeszcze się nie skończył.

– Ale... – Pobiegła za nim, gdy spokojnie, jakby właśnie nie przypięczętował jej losu, wszedł do domu i ruszył do saloniku. – Muszę wrócić. Margaret będzie się martwić.

– Przy takiej pogodzie promy nie pływają i żaden rybak przy złotowych zmysłach nie zaryzykuje przeprowadzania się przez cieśninę.

Allena przysiadła na oparciu fotela i zamknęła oczy.

– Cóż, to załatwia sprawę. Czy jest tutaj jakiś telefon? Mogłabym zadzwonić do hotelu i zostawić wiadomość?

– Telefony nie działają.

– Jasne. – Patrzyła, jak gospodarz wkłada tortowe kostki do ognia. Jej ubranie wisiało przed kominkiem niczym oskarżenie. – Panie O'Neil?

– Conal. – Wyprostował się i odwrócił ku niej. – Wszystkie kobiety, które rozbieram i kładę do łóżka, nazywają mnie Conal.

Specjalnie ją prowokował, ale nie zarumieniła się ani nie wpadła w gniew. Wręcz przeciwnie, w jej oczach zamigotały iskiarki śmiechu.

– Wszyscy mężczyźni, którzy mnie rozbierają i kładą do łóżka, mówią na mnie Lena.

- Allena bardziej mi się podoba.

- Naprawdę? Mnie też, ale wygląda na to, że dla większości ludzi ma za dużo siałab. Wszystko jedno, Conal, czy na wyspie jest jakiś hotel albo pensjonat, w którym mogłabym poczekać, aż promy znowu zaczną kursować?

- Hotelu nie ma, turyści rzadko zapędzają się tak daleko. A do najbliższej wioski, jednej z trzech na wyspie, jest ponad osiem kilometrów.

Spojrzała na niego uważnie.

- Więc muszę tu zostać?

- Na to wygląda.

Z roztagnieniem pogładziła Hugh po szerokim grzbiecie, zastanawiając się nad swoim położeniem.

- Bardzo jestem wdzięczna za gościnę i postaram się nie przeszkadzać.

- Trochę już na to za późno, ale jakoś sobie poradzimy. - Kiedy w odpowiedzi uniosła wysoko brwi, poczuł wstyd. - Umiesz porządnie zaparzyć herbatę?

- Tak.

Gestem wskazał kuchnię, którą od salonu oddzielał krótki barek.

- Wszystko tam jest. Mam parę rzeczy do zrobienia, jak wrócę, pogadamy przy herbatce.

- Dobrze - odrzekła sztywno, uprzejmie. Tylko otwarte z hukiem drzwi - ki kredensu powieździały mu, że jest zła.

Zaparzyła te cholerną herbatę, myślała, szarpnięciem odkrecając kurek, by nalać wody do czajnika, co nie było wcale taką łatwą sprawą, jako że w zlewku piętrzyły się brudne naczyńka. I będzie wdzięczna Conalowi O'Neilowi za gościnność, choćby nie wiem jak niechętnie i niegrzecznie jej udzielał.

Czy to jej wina, że znalazła się na niewłaściwej wyspie? Czy to jej wina, że zgubiła się w burzy, straciła przytomność i musiał przynieść ją na rękach do swego domu? Czy to jej wina, że nigdzie indziej nie mogła się schronić?

Coż, pewnie tak. Przewracając oczami, zaczęła opróżniać zlew z naczyń, zanierając nalać do niego wody z płynem i wszystko pozmywać. Owszem, jeśli się zastanowić, wszystko to było jej winą. Co czyniło całą sprawę jeszcze bardziej irytującą.

Po powrocie do Nowego Jorku znowu będzie bez pracy. Znowu. I kolejny raz stanie się obiektem współczucia i politowania. I to też jej wina. Oczywiście rodzina oczekiwiała, że znowu jej się nie uda - tej lekkomyślnej, pusto-głowej Lenie.

A co gorsza, uświadomiła sobie teraz, ona też się tego spodziewała.

Problem polegał na tym, że w niczym nie była szczególnie dobra. Nie miała żadnych konkretnych talentów, żadnych umiejętności i brakowało jej ambicji.

Nie była leniwa, aczkolwiek wiedziała, że Margaret nie zgodziłaby się z tym zdaniem. Praca jej nie przerażała. Przetarzały ją biznes i konieczność robienia kariery.

Ale to problem na jutro, powtórzyła sobie, zmywając naczyńka w oczekiwaniu, aż woda się zagotuje. Problemem na dzisiaj jest Conal O'Neil i spóźnionych, w jaki rozwiąże sytuację, w której Allena postawiła oboje.

Układając czyste naczyńka, wycierając blaty i ogrzewając czajniczek, uznała, że sytuacja powinna być dla niej ekscytująca. Wyspa, szalejący sztorm, przystojny ponury facet, przytulny wiejski domek odizolowany od świata.

Doszała do wniosku, że to właśnie jest prawdziwa przygoda. Zamierzała cieszyć się nią, nim miecz spadnie na jej głowę.

Kiedy Conal wrócił, stary czajniczek był otulony wystyrzpionym i splo-wiałym pokrowcem. Na wyszorowanym do białości stole stały filiżanki i spodka, pusty zlew jaśniał, blaty lśniły, a czekoladowe herbatniki, które miał w puszcze, zostały ładnie ułożone na talerzu.

- Byłam głodna - powiedziała, chrupiąc ciastko. - Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza.

- Nie - Już prawie zapomniał, jak to jest usiąść przy stole w czystej kuchni i napić się herbaty. Zauważył, że gniew Alleny minął bez śladu. Sprawiła wrażenie, że jest na swoim miejscu w jego kuchni, ubrana w jego koszulę.

- To dobrze. - Usiadła i nalata herbaty do filiżanek. W jednym była naprawdę dobra: w prowadzeniu rozmowy. Często jej powtarzano, że jest w tym dobra. - Mieszkasz tu sam?

- Tak.

- Z psem.

- Wabi się Hugh. Należał do mojego ojca, który umarł kilka miesięcy temu.

Nie powiedziała, że mu współczuje, jak wiele innych osób, zbyt wiele, uczyniłoby na jej miejscu. Wyczytał to jednak z jej oczu, co było o wiele ważniejsze.

- To miejsce jest piękne, idealne. O tym myślałam, nim zemdlałam w ogrodzie. Wychowałeś się tutaj?

- Tak.

- Ja wychowałam się w Nowym Jorku, ale jakoś nigdy tam nie pasowałam. - Przyglądała mu się nad filiżanki. - Ty tu pasujesz. To cudowna rzecz, kiedy człowiek znajdzie miejsce, do którego pasuje. Wszyscy w mojej rodzinie mają takie miejsca - prócz mnie. Rodzice, Margaret i James, to moje rodzeństwo. Ich matka umarła, kiedy Margaret miała dwanaście lat, a James dziesięć. Kilka lat później ich ojciec poznał moją matkę, wzięli ślub i ja się im urodziłam.

- I jesteś Kopicuskiem?

- Nie, nie równie romantycznego. - Westchnęła jednak na myśl, jakie by to było urocze. - Po prostu nieudacznikiem. Oni wszyscy są bardzo błyskotliwi. Ojciec jest chirurgiem, matka prawniczką, James odnosi ogromne sukcesy jako chirurg plastyczny, a Margaret ma własną firmę o nazwie Cywilizowana Przygoda.

- Komu mogłoby zależeć na cywilizowanej przygodzie?

- Właśnie. - Zachwycona Allena uderzyła dłonią w stół. - Myślę dokładnie tak samo. Czy układanie wszystkiego z góry nie oznacza, że to wcale nie będzie przygoda? Ale kiedy powiedziałam to Margaret, w odpowiedzi musia-

łam wysłuchać dwudziestominutowego wykładu, a ponieważ jej firma kwitnie, nie miałam argumentów.

Znowu zrobiło się szaro, ponieważ na niebie pojawiły się nowe chmury, pozostało jednak dość słońca, by migotać na jej włosach i odbijać się w oczach. Conal nagle poczuł ochotę, by wziąć ołówek.

Dokładnie wiedział, co z niej zrobi. Myślał o tym, przesuwał po niej wzrokiem. I o mało nie podskoczył, kiedy ujrzał wisiołek. Zupełnie o nim zapomniał.

- Skąd to masz?

Poczuła jego błękitne oczy na swoich piersiach i przeszła ją dreszcz, ale zaraz ogarnęła ją ulga, że to wisiołek tak go zainteresował; przynajmniej tak ją miała nadzieje.

- Wisiołek? To jest właśnie źródło moich kłopotów. - Powiedziała to żartobliwie, lecz Conal utkwil płonące spojrzenie w jej twarz.

- Skąd go masz?

Zaskoczył ją ten ostry ton. Zadrzała.

- Niedaleko nabrzeża był sklepik z oknem wystawowym zapchlany różnymi rzeczami. Wspaniałymi, magicznymi.

- Magicznymi - powtórzył.

- Elfy i smoki, książki i śliczna biżuteria. Kompletny mizmasz, ale interesujący. Nie mogłam się oprzeć. Wpadłam tam tylko na minutkę, bo miałam trochę czasu do spotkania przy promie. Ale starszuszka pokazała mi ten wisiołek i jakimś sposobem, kiedy rozmawiałymy, przesiadziałam tam ponad godzinę. I wcale nie chciałam go kupować. Tylko że ja robię wiele rzeczy, których nie planuję.

- Nie wiesz, co to jest?

- Nie. - Zamknęła dłoń na wisiołku, czując lekką wibrację, której przecież nie mogło tam być. Zamrugala, bo przelotnie ujrzała jakiś ruch kąci-kiem oka. - Wydaje się stary, ale nie może być stary, i nie może być cenny, skoro kosztował tylko dziesięć funtów.

- Różne rzeczy mają różną wartość dla różnych ludzi. - Nie mogąc się oprzeć, Conal wyciągnął rękę i położył dłoń na jej palcach ścisnął ją wisiołek.

Poczuła wstrząs, przenikliwy jak porażenie prądem. Powietrze nabralo błękitnej barwy błyskawicy. Allena stała z głową odchyloną od tyłu, patrząc mu w oczy. Conal zerwał się od stołu tak gwałtownie, że krzesło upadło na podłogę.

Ta sama gwałtowność była w jego wargach miażdżących jej usta, a ją zalało pożądanie czyste, silne i prawdziwe. Za ich plecami podmuch wiatru uderzył w okno. Allena zacisnęła palce na włosach Conala i przytuliła się do niego całym ciałem.

Pasowali do siebie doskonale.

Bicie jej serca brzmiało niczym pieśń, każda nuta śpiewała o radości. Świat mógł się walić, gdy była tutaj z nim - to jej wystarczało.

Conal nie mógł przestać. Smakowała jak chłodna i czysta woda po dręczącym go całym życie pragnieniu. Puste miejsca w jego wnętrzu, o których ist-

nieniu nie miał pojęcia, wypełniły się po brzegi. Krew zawrzała mu w żyłach, ciało oslabło z pożądania. Zgniół koszulę na jej plecach, gotów ją rozzerwać. W tej samej chwili wypuścili z dłoni wisiołek, by wzajemnie się objąć. Conal odskoczył.

- Ja tego nie chcę. - Ujął ją za ramiona, jakby chciał nią potrząsnąć, lecz tylko ją przytrzymał. - Nie pogodzę się z tym.

- Możesz mnie puścić? - zapytała cicho i spokojnie. Kiedy to zrobił, cofnęła się i odetchnęła głęboko. Nie będzie zachowywać się jak tchórz, powiedziała sobie w duchu. - Mam wybór - zaczęła. - Albo uderzyłam się w głowę przy upadku i doznałam wstrząsu mózgu, albo też właśnie zakochałam się w tobie. Chyba bardziej odpowiada mi teoria o wstrząsie mózgu. Jak sobie wyobrażam, tobie też.

- Nie uderzyłaś się w głowę. - Conal wcisnął dlonie w kieszenie i zrobił krok do tyłu. - I nikt nie zakochuje się w ułamku chwili, po jednym pocałunku.

- Rozsądni ludzie tak nie postępują. Ale ja nie jestem rozsądna. Zapytaj, kogo chcesz. - Jeśli jednak kiedykolwiek była pora na rozsądek, to właśnie teraz. - Chyba ubiorę się i pójdę na spacer, żeby pozbiierać myśli.

- Nadchodzi następna burza.

Allena ściągnęła ubrania z ekranu przed kominkiem.

- I ty mi to mówisz - mruknęła, maszerując do sypialni.

Gdy wyszła z sypialni, Conala nie było w salonie, za to przy kominku siedział Hugh, jakby na nią czekał. Zaraz też ruszył ku drzwiom i zaczął w nie skrobać, odwracając ku niej wielki łeb.

– Masz ochotę na spacer? Ja też.

Szkoda, że ogród jest taki zapuszczony, pomyślała Allena. Z przyjemnością by się nim zajęła, powyrywała chwasty, usunęła zeschnięte kwiaty. Godzina miłej pracy, może dwie, a pokryta kwiatami płatanina today i galezi, zamiast wyglądać na zamiedbaną, wyglądałaby po prostu dziko. Tego tutaj potrzeba.

Ale to nie jej sprawa, powiedziała sobie, nie jej dom, nie jej miejsce. Zerknęła na mały budynek. On przypuszczałnie tam jest, robiąc... cokolwiek robi. Wyobrażała sobie, że jest bardzo zły.

Dlaczego tyle w nim gniewu?

To też nie jej problem, nie jej interes, nie jej mężczyzna.

Choć przez chwilę, kiedy ich dłonie i usta się złączyły, wydawało się, że jej.

Nie chce tego. Nie chce ciebie.

Jasno wyraził swoje zdanie. A ją męczyło, że znalazła się w miejscu, gdzie nie była mile widziana.

Od morza wiał wiatr, pędząc nad wyspę wielkie chmury z czarnymi krawędziami. Idąc przed siebie, Allena widziała, jak stopniowo, nieuchronnie pożerają błady błękit.

Conal miał rację. Zbliżała się burza.

Lecz przecież spacer brzegiem morza nie jest chyba niebezpieczny. Nie pójdzie na wzgórze, mimo że bardzo tego pragnęła. Będzie się trzymała kretel granicy pomiędzy wodą a płaskiem i zachwycala wywołującym dreszcz widokiem rozbiegających się fal.

Hugh sprawiał wrażenie, że cieszy go przechadzka u jej boku. Pomyślała, że towarzyszy jej prawie jak wartownik.

Przypomniała sobie, że do najbliższej wioski jest osiem kilometrów. To nie tak daleko. Poczeka na poprawę pogody i pójdzie tam pieszo, jeśli Conal nie będzie chciał jej podwieźć. Pomiędzy chatą a tajemniczym budynkiem stała nowoczesna furgonetka, rzecz tutaj anachroniczna, ale bez wątpienia przydatna.

Dlaczego pocatował ją w taki sposób?

Nie, to nie tak. To nie była wyłącznie jego inicjatywa. To po prostu im obojgu się przydarzyło. Obojgu. W głowie jej szumiło jak nigdy dotąd. Odczuwała coś więcej niż namiętność, więcej niż pożądanie. To był rodzaj rozpaczy świadomości.

Więc jesteś. Wreszcie. W końcu.

Śmieszne, oczywiście, ale nie potrafiła w żaden inny sposób wyjaśnić tego, co obudziło się w jej sercu i od pierwszej chwili wydawało się miłością.

Nie możesz kochać kogoś, kogo nie znasz. Nie możesz kochać, gdy pomiędzy wami nie ma zrozumienia, fundamentów, wspólnej przeszłości. Rozum powtarzał jej te wszystkie rozsądne, racjonalne argumenty, a serce się z nich śmiało.

To bez znaczenia. Mogła sobie być zażenowana, zdziwiona, zirytowana, a może nawet gotowa do zaakceptowania tej sytuacji. To jednak było bez znaczenia, skoro on nie chciał ani jej, ani tego, co między nimi zapłonęło.

Przystanęła, pozwalając, by chostał ją wiatr, nie unikała mgiełki wilgoci z rozpryskujących się fal. Nad jej głowę biała jak księżyc mewa zaskrzeczała triumfalnie i odtrąnęła w strumieniu naladowanego elektrycznością powietrza.

Och, jakże zazdrościla prakowi tej wolności, jej serce bowiem także pragnęło odlecieć, dać się unieść wiatrowi, gdziekolwiek ją zanieś. I wiedzieć, że tam, gdzie wyładuje, będzie jej miejsce, jej czas, jej triumf.

„Musisz jednak żyć terazniejszością, prawda, Leno? – W jej uszach zabrzmiał cierpliwy i zdziwiony głos marki. – Musisz podjąć wysłtek, dołożyć starań. Nie możesz wечно drytować, musisz coś ze sobą zrobić. Najwyższa pora, żebyś skupiła się na karierze, pracowała, by wyrobić sobie nazwisko”.

A pod tym wszystkim kryło się niewypowiedziane: „rozczarowałaś mnie”.

Wiem, przykro mi. To takie okropne. Żałuję, że nie mogę ci powiedzieć, jak okropna jest świadomość, że jestem twoją jedyną porażką.

Allena przyrzekała sobie, że bardziej się postara. Przekona Margaret, by dała jej drugą szansę. Jakos jej się uda. I będzie pracowała ciężiej, dokładała większych starań. Będzie odpowiedzialna i rozsądna.

I bardzo nieszcześliwa.

Pies trącił ją nosem, otarł się ciepłą sierścią o nogi. Ten drobny gest pocieszył Allene. Ruszyła dalej brzegiem morza.

Wybrała się na spacer, by uporządkować myśli, a nie po to, by zaprzętać sobie głowę nowymi problemami. Chyba nie ma na świecie lepszego miejsca na uspokojenie serca i umysłu niż te zielone wzgórza i ostre klify polyskujące pod groźnym niebem. Pośród zieleni i szarości wybuchały kolorami polne kwiaty. Przed sobą Allena dostrzegła plamę fioleto-; to były wrzozy.

Zaprzęgnęła zebrać cały bukiet i ukryć twarz w ich aromacie. Zachwyciona pomysłem, zaczęła się wspinać na kamieniste zbocze do miejsca, gdzie wrzozy wyrastały z cienkiej warstwy ziemi, a potem wyżej, aż zapach kwiatów przytłumił nawet pradawny zapach morza.

Zebrała pełne narecze wrzosów, ale pragnęła mieć ich więcej. Ze śmiechem pobiegła wąską ścieżką. I nagle stanęła jak wryta. Potrząsnęła głową, w uszach bowiem zabrzmiało jej dziwne brzęczenie. Chciała pójść dalej, lecz nie mogła. Po prostu nie mogła, jakby od zbrocza pełnego kwiatów oddzielała ją szklana ściana.

– Mój Boże, a co to?

Ułosała drzącą dłoń, z której wypadły gałązki wrzosów. Poniósł je wiatr. Allena nie dostrzegła żadnej przeszkody, czuła tylko ciepło w miejscu, gdzie jej ręka dotknęła powietrza. A choć się starała, nie potrafiła przebić go na wylot. Błysnął piorun i przetoczył się grzmot. W jego dudnieniu usłyszała, jak ktoś wola ją po imieniu. Spojrzała na plażę, niemal spodziewając się zobaczyć smoki lub czarodziejów, ale był tam tylko Conal. Stał na szeroko rozstawionych nogach, długie włosy rozwiewał mu wiatr, wyglądał na ziryowanego.

– Zejździ! Nie powinnaś chodzić po skałach, kiedy zaczyna się burza.

Wolał myśleć, że poszedł za nią, kierowany poczuciem odpowiedzialności. Poczł jednak wstrząs, gdy zobaczył ją idącą z nareczem kwiatów po klifie, w niesamowitym świetle błyskawic. Co za widoki! Zapagnął pobiec za nią, zamknąć ją i kwiaty w objęciach, przycisnąć jak przedtem usta do jej warg w szarpającym oboje wietrze.

A ponieważ tego pragnął i nie mógł myśleć o niczym poza smakiem jej warg, kiedy do niego zeszła, zaprzął głosem ostrym jak brzytwa:

– Gdzie ty masz rozum, żeby przy takiej pogodzie zbierać kwiaty?

– Najwyraźniej daleko stąd. Pójdziesz ze mną?

– Co?

– Zrób mi tę przyjemność, przespacerujmy się razem po plaży.

– Może rzeczywiście miałaś wstrząs mózgu. – Już chciał złapać ją za rękę i pociągnąć za sobą, ale się cofnęła.

– Proszę, tylko minutkę! – Wymamrotał jakieś przekleństwo i zrobił jeden krok, drugi, trzeci. Kiedy nagle przystanął, Allena zamknęła oczy i zadziwała.

– Nie możesz, prawda? Nie możesz iść dalej. Ja też nie. – Spojrzała w jego rozgniewane oczy. – Co to znaczy?

– To znaczy, że tak jest. Teraz pojedziemy do domu. Nie mam najmniejszej ochoty zmoknąć po raz drugi jednego dnia.

W drodze powrotnej milczał, a ona mu nie przeskadzała. Gdy stanęli na progu chatki, z nieba spadły pierwsze wielkie krople.

– Masz coś, w co można by je włożyć? – zapytała. – Trzeba je wstawić do wody, a wolałbym mieć ręce zajęte, kiedy będziesz mi wszystko wyjaśniał.

Wrzucił ramionami i machnął w stronę kuchni, a potem poszedł dołożyć tortu do ognia.

Na zewnątrz lato jak z cebra i szalał wicher. Allena ustawiała na stole wazon, butelki i miski. Conal w milczeniu zajmował się ogniem, podgrzała więc herbatę.

Spojrzał na nią, gdy napełniła filiżanki, i poszedł do kuchni po butelkę whisky. Szczerze zaprawił swoją herbatę i unosząc brwi, przesusnął butelkę nad jej filiżankę.

– Chcesz trochę?

Zamiast jednak się napić, Allena zaczęła układać kwiaty w naczyniach.

– Co to za miejsce? Kim ty jesteś?

– Już ci mówiłem.

– Tylko się przedstawiłeś. – Wiedziała, że to zwyczajne zajęcie ją uspokoi, i tak się stało. Spojrzała mu prosto w oczy. – Nie o to mi chodziło.

Przyrzekł się jej badawczo i skinął głową. Powinna wiedzieć, choć może nie będzie umiała sobie z tym poradzić.

– Orientujesz się, jak daleko na morzu jesteś?

– Młde, może dwie?

– Ponad dziesięć.

– Dziesięć? Ale płynęliśmy tu nie dłużej niż dwadzieścia minut i to przy złej pogodzie!

– Do południowo-zachodniego wybrzeża Irlandii z Wyspy Dolmana jest ponad dziesięć mil. Tu spotykają się Atlantyk i morza celtyckie. Niektórzy powiadają, że tutaj praki zrzucają pióra i wygryzają się na skałach w ludzkim cieple. Nocami wroźki wychodzą ze swych kryjówek we wzgórzach, aby tańczyć w świetle księżycy.

Allena wybierała krótsze wrzosy, by włożyć je do pękatej butelki.

– A ty co sądzisz?

– Niektórzy powiadają – ciągnął, nie odpowiadając na jej pytanie – że moja prababka opuściła swój pałac pod wzgórzem i przysięgła miłość mojemu pradziadkowi w noc letniego przesilenia przy Królewskim Kamieniu na klifach. Sto lat temu. Tak samo jak sto lat wcześniej inny mój przodek stał w tym samym miejscu ze swoją kobietą i składał tę samą przysięgę. I było tak jeszcze sto lat wcześniej, zawsze tej samej nocy, w tym samym miejscu, gdzie ukazuje się gwiazda.

Dotknęła wisiora.

– Ta gwiazda?

– Tak powiadają.

– Za dwa dni jest noc letniego przesilenia i twoja kolej, tak?

– Gdybym wierzył, że moja prababka była kimś innym niż zwykłą kobietą, a w moich żyłach płynie krew elfów i los sprawi, iż przysięgnę komuś miłość, bo gwiazda tak czy inaczej świeci wśród kamieni, nie mieszkałbym tutaj!

– Rozumiem. – Kiwnęła głową i zaniósł jeden z wazonów do salonu. –

Więc jesteś tutaj, by udowodnić, że wszystko, o czym mi opowiadałeś, to stek bzdur.

– A mogłabyś uwierzyć w coś takiego?

Nie miała najmniejszego pojęcia, w co wierzy, czuła jednak, że jest wiele, bardzo wiele rzeczy, które zdolaby zaakceptować.

– Dlaczego nie moge stąd odejść, Conal? Dlaczego ty tego nie zrobiłeś? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, podeszła do stołu. Upiwszy tyk herbaty, poczuła w żyłach ciepło alkoholu. Wróciła do układania kwiatów. – To na pewno trudne dla ciebie, skoro od dzieciństwa opowiadało cię tę historię i oczekiwano, że w nią uwierysz.

- A ty byś uwierzyła? - zaprzat. - Umiiałbyś zapamiętać o wykształceniu, o rozsądku i uwierzyłabyś, że masz należeć do mnie, ponieważ tak mówi legenda?

- Nie powiedziała bym nie. - Z przyjemnością ustawiła butelki z wrzosem na wąskiej kamienniej półce nad kominkiem. - Byłabym zainteresowana, rozbawiona, może trochę podekscytowana całym tym pomysłem. A potem śmiałabym się z niego. Śmiałabym się - powtórzyła i spojrzała na Conalę. - Gdybym cię nie pocałowała i nie poczuła tego, co poczułam, i ty też.

- Pożądanie to normalna rzecz.

- Masz rację, ale gdyby tylko o to tu chodziło, oboje po prostu byśmy go posłuchali. Gdyby tylko o to chodziło, nie byłbyś teraz taki zły na siebie i na mnie.

- Jesteś cholernie spokojna.

- Wiem. - Nie mogła powstrzymać uśmiechu. - Czy to nie dziwne? Ale ja jestem dziwna. Wszyscy to mówią. Lena, ryba wyjęta z wody, kwiatek przy kozuchu, niezdarca, która nigdy nie trafia do celu. Ale tutaj nie czuję się dziwnie ani nie na swoim miejscu, więc łatwiej mi zachować spokój.

I rzeczywiście, wygląda na swoim miejscu, pomyślał, gdy tak chodzi po chacie i ustawia kwiaty.

- Nie wierzę w magię.

- A ja szukam jej przez całe życie. - Podala mu gałązkę wrzосу. - Coś ci obiecuję.

- Nie musisz mi składać żadnych obietnic. Nic mi nie jesteś winna.

- Zrobię to z własnej woli. Nie będę cię dreczyła legendami czy magią.

Odejdę, kiedy to będzie możliwe, jeśli tego właśnie pragniesz.

- Dlaczego?

- Zakochałam się w tobie, a miłość nie czeka się kurczowo.

Z pokorą wziął gałązkę wrzосу i wsunął jej we włosy.

- Alleno, trzeba patrzeć jasno, by z taką łatwością zobaczyć własne serce. Ja nie patrzę jasno. Mogłbym cię skrzywdzić. - Musnął palcami jej policzek. - A wolalbym nie.

- Jestem silna. Nigdy przedtem nikogo nie kochałam, Conal, i mogę zrobić coś nie tak, ale na razie, w tej chwili, bardzo mi to wystarczy.

Nie chciał wierzyć, by cokolwiek mogło być aż tak proste.

- Pociągasz mnie. Chcę cię dotykać, czuć twoje ciało pod moim. Nie wiem, czy chcesz czegoś więcej, a w ostatecznym rozrachunku może się okazać, że dla ciebie i dla mnie to za mało. Lepiej więc od razu się wycofać. - Zdjął płaszcz z wieszaka. - Muszę popracować - powiedział i wyszedł na deszcz.

Allena usłyszała sobie, że to i tak byłoby więcej, niż dotąd miała. Jeśli zajdzie taka potrzeba, to jej wystarczy.

Burza jeszcze pomrukiwała cicho, gdy Conal wrócił. Zapadał tagodny mglisty wieczór. Pierwszą rzeczą, która go uderzyła, kiedy przekroczył próg domu, był zapach: gorący i intensywny. Zaburzało mu w brzuchu.

Później dostrzegł drobne zmiany w salonie. Były subtelne: przesunięty stół, wyglądzone poduszki. Kurzu by nie zobaczył, zauważył jednak jego brak i poczuł słaby zapach pasty.

Allena dopilnowała, by ogień nie zgasł; jego blask połączony z płomieniami świece, które gdzieś znalazła i porozstawiała, nadal pokojowi przytulny wygląd. Włączyła też płytę i nacila do wrotu, krztając się po kuchni.

Kiedy odwieścił płaszcz, napięcie, które towarzyszyło mu przy pracy, w jednej chwili zniknęło.

- Ugotowałam zupę! - zawołała Allena. - W ogrodzie znalazłam zioła pomiędzy chwastami. Nie masz zbyt wielkich zapasów jedzenia, więc jest bardzo prosta.

- Pachnie zachęcająco. Jestem ci wdzięczny.

- Przecież musimy coś jeść, prawda?

- Nie mówiłabyś tego tak lekko, gdybym to ja zajmował się gotowaniem. Zdążyła już nakryć do stołu. Jakims cudem udało jej się sprawić, że niepasujące do siebie talerze i miski wyglądały wesoło i przyjemnie. Tu też paliły się świece, a na kredensie oddychała jedna z butelek wina, które przywiózł z Dublina.

Teraz robiła biszkopty.

- Allena, nie musiałaś zadawać sobie tyle trudu.

- Och, lubię się krzątać. Gotowanie to moje hobby. - Nalala mu wina. - Prawdę mówiąc, byłam na kursie gotowania. Byłam na wielu kursach. Kiedyś nawet myślałam, że otworzę własną restaurację albo zostanę szefem kuchni.

- I co?

- Prowadzenie restauracji to nie tylko przygotowywanie potraw, niestety, a ja nie mam głowy do interesów. A jeśli chodzi o karierę szefa kuchni, to uświadomiłam sobie, że trzeba co wieczór gotować właściwie to samo, w dodatku na żądanie, bo w kartce są określone dania. W rezultacie mam kolejne hobby. - Wsunęła biszkopty do piekarnika. - Ale to akurat jest przynajmniej praktyczne. Gotowe. - Wyrwała dłonie w ścierkę zatkniją za pasek. - Mam nadzieję, że jesteś głodny.

Rzucił jej uśmiech, na widok którego serce jej zatrzepotało.

- Umieram z głodu.

- To dobrze. - Postawiła na stole talerz z serem i oliwkami. - Nie będziesz mnie krytykował.

Conal nabrałby chochłną zupy prosto z garnka, Allena natomiast przelała ją do białej wazy. Wygrzebala gdzieś szklane naczynie, używane przez jego matkę jako maselniczka, a którego on od lat nie widział. Upieczone biszkopty umieściła w koszyku wyszczelnionym ściereczką w niebiesko-białą kratkę, a potem zaczęła nalewać zupę.

- Ja to zrobię. Usiądź. - Conal położył dłoń na ramieniu Alleny.

Już od samego zapachu mógłby zapłakać z wdzięczności. Przy pierwszej wyście przyprawionej ziołami, gęstej od warzyw zupy z rozkoszy przymknął oczy.

Kiedy znowu je otworzył, dostrzegł, że dziewczyna przypatruje mu się z rozbowieniem.

- Lubię twoje hobby - powiedział. - Mam nadzieję, że przez cały pobyt tutaj będziesz mu się oddawała bez skrępowania.

Wybrała biszkopt i obetrzała ze wszystkich stron. Uśmiech Conala sprawił jej wielką satysfakcję.

- To wielkoduszne z twojej strony.
- Od kilku miesięcy przy życiu utrzymują mnie moje skromne umiejętności.
- Spojrzał jej w oczy. - Dzięki tobie uświadomiłem sobie, czego mi brakowało. Jestem mężczyzną o zmiennych humorach.
- Naprawdę? - zapytała tak łagodnie, że kpina niemal umknęła jego uwagi. Szybko jednak zareagował.
- Roześmiał się, pokręcił głową i nabral zupy na łyżkę.
- Myślę, że następne dni nie będą spokojne.

5

Spał w swoim atelier, co wydawało się teraz najsmardzejszym posunięciem. Pragnął jej i na tym polegał problem. Nie wątpił, że Allena chętnie dzieliłaby z nim łóżko i oddała mu siebie. A choć odpowiadałoby mu to o wiele bardziej niż chłodna i wąska przyczka w zagraconej pracowni, wykorzystywanie romantycznych złudzeń dziewczyny nie wydawało się uczciwe.

Wyobraziła sobie, że jest w nim zakochana!

Myśl, że dosłownie w mgnieniu oka mogła dojść do takiego wniosku i powiedzieć o tym na głos, zbiła ją go z tropu. Z drugiej jednak strony Allena Kennedy nie przypominała innych kobiet, które przewinęły się przez jego życie. Skomplikowana z niej dziewczyna, myślał Conal. Łatwo byłoby uznać ją za naiwną, prostą, niemal głupią. Ale jedynie na pierwszy przelotny rzut oka. Tylko że Conal nigdy nie był zwoleńnikiem przelotnych rzutów oka. Dostrzegł w Allenie kilka istot: myślącą, radosną, namiętną i współczującą. Dziwne, że sama w sobie nie widziała tych cech.

Brak owej świadomości dodawał jej jeszcze jedną ważną zaletę, a była nią słodycz.

Z rozrządzeniem, wciąż czując pod powiekami piasek po niespokojnej nocy, zabrał się do szklowania. Allena Kennedy z Nowego Jorku, czarna owca w rodzinie konformistów. Kobieta, która jeszcze nie odnalazła samej siebie, a mimo to wydawała się całkiem zadowolona i radziła sobie doskonale z sytuacją. Kobieta współczesna, bez dwóch zdań, lecz chętnie słuchająca magicznych opowieści.

Nawet bardziej niż chętnie, pomyślał Conal. Przyjmowała je z żarliwością i entuzjazmem. Jakby czekała, aż ktoś jej powie, dokąd przez cały czas zmierzala.

On tego nie zrobi, w żadnym razie. Od dzieciństwa powtarzano mu, że ten dzień nadejdzie, ale nie zamierzał biernie się poddawać, odrzucając wolną wolę. Wrócił tutaj, by to udowodnić.

Niemal słyszał chichot przeznaczenia.

Skrzywił się, oglądając swój rysunek. Przedstawiał Allene z migdałowymi oczami i wystającymi kośćmi policzkowymi oraz krótkimi, potarganymi włosami, które tak dobrze pasowały do wyrazistej twarzy i szczupłej szyi. U ramion naszkicował jej zarys skrzydeł jak u wróżki.

Pasowały doskonale.

To diabiełnie go zirykowało.

Rzucił szkicownik. Miał robotę, najpierw jednak zamierzał napić się herbaty.

Wiatr wciąż wiał, poranne słońce przedzieralo się przez chmury i tańczyło nad wodą. Jedynym odgłosem, który mógł ciszę, był szum fal rozbijających się o brzeg. Conal uwielbiał widok ciągle zmieniającego się, kapryśnego morza. Gdy mieszkał w Dublinie, tego jednego ciągle mu brakowało: patrzenia na wodę, niebo i nieurodzajną ziemię, która należała do niego.

Choćby nie wiadomo jak często i nie wiadomo dokąd wyjeżdżał, zawsze coś go tu ciągnęło. Bo tu były jego serce i dusza.

Odwrocił się od morza i zobaczył ją.

Kłęcząc w ogrodzie, wokół niej szalały kolorowe kwiaty; poranne słońce migotało na jej włosach. Twarz miała odwróconą, Conal jednak widział ją oczyma duszy. W oczach dzweczyły na pewno malował się ten marzycielski, zadowolony wyraz, gdy wrywała chwasty, którym on pozwolił się rozpleść.

Już teraz kwiaty wyglądały weselej, jakby zadowolone z okazywanej im po tygodniach zaniedbania uwagi.

Z komina unosiła się smuga dymu, o ścianę stała oparta miotła. Bóg wie gdzie Allena znalazła kosa, do którego teraz wrzucała chwasty. Stopy miała bosa.

Nim zdążył się opanować, ogarnęła go fala ciepła.

- Nie musisz tego robić.

Słysząc jego głos, uniosła głowę. Rzeczywiście, wyglądała na szczęśliwą.

- Rośliny tego potrzebowały, a poza tym kocham kwiaty. W mieszkaniu mam ich pełno, ale tutaj im o wiele lepiej. Nigdy nie widziałam tak wielkich łwich paszczy. - Przesunęła palcem po żółtych jak masło platkach. - Zawsze przywodzą mi na myśl Alicję.

- Alicję?

- W Krainie czarów. Zaparzyłam już herbatę. - Podniosła się i skierowała na widok brudnych plam na spodniach. - Chyba powinienam być ostrożniejsza. W końcu nie mam tu zbyt dużo garderoby na zmianę. Dobrze. Jak przy rządzone jajka lubisz?

Otworzył usta, żeby jej powiedzieć, że nie ma obowiązku przygotowywać mu śniadania, ale przypomniał sobie doskonale smak wczorajszej zupy.

- Jajecznicą byłaby świetna, jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

- Najmniejszego. Tyle przynajmniej mogę zrobić, skoro wykopałam cię z łózka. - W proggu odwróciła się ku niemu. - Mógłś zostać.

- Wiem.

Przez chwilę patrzyła mu w oczy, potem skinęła głową.

- W łodówce był bekon, wieczorem go wyjęłam, żeby się rozmrózł. Aha, i kapalo z prysznicą. Potrzebna była nowa uszczelka.

Przed drzwiami przystanął, po raz pierwszy od wielu lat pamiętając o wytarciu butów.

- Naprawiaś prysznic?

- No, przecież z niego kapalo - odpowiedziała z kuchni. - Chyba będzie chciał się umyć. Przygotuję śniadanie.

Podrapał się po karku.

- Jestem ci wdzięczny.

Zerknęła na niego z ukosa.

- Ja też.

Kiedy poszedł do sypialni, zakreśliła się po kuchni, spleciała ramiona na piersi. Och, kochała to miejsce. Tu było jak w bajce, a ona znalazła się w samym jej środku. Rano obudziła się, niemal wierząc, że to wszystko jej się sniło. Kiedy wszakże otworzyła oczy, zobaczyła tamto mgliste światło, a w nozdrzach poczuła słaby zapach dymu z gasnącego w kominku ognia i aromat wrzosa, którego bukiecik ustawiła przy łóżku.

To sen. Najpiękniejszy, najbardziej realny sen, jaki kiedykolwiek miała. I zamierzała go zatrzymać.

On nie chciał tego snu, nie chciał jej. Lecz to można zmienić. Pozostały jeszcze dwa dni na dotarcie do jego serca. Jak jego serce może być zamknięte i puste, skoro jej po brzegi jest pełne uczuć? Miłość przerosła jej marzenia i oczekiwania.

Była o wiele cudowniejsza.

Allena musiała mieć nadzieję, musiała wierzyć, że jutro lub pojutrze Conal się obudzi i poczuje to samo co ona.

Odkryła, że miłość wypełnia ją radością. Nie pozostało już miejsca na cięnię, na wątpliwości.

Była zakochana w tym mężczyźnie i w tym miejscu. Nie stało się to w mgnieniu oka, choć jej uczuciu towarzyszył nagły gwałtowny dreszcz. Z miłości splecione były wrażenia cudownej ulgi, świadomość wygody, swoboda bycia, pewność siebie i ukochanej osoby.

Tym razem nie poniesie klęski, przysięgła sobie w duchu. Nie przegra.

Zamykając oczy, dotknęła gwiazdy na piersiach.

- Sprawię, że to się stanie rzeczywistością - szepnęła. Szczęśliwa, zabrala się do śniadania.

Nie miał pojęcia, co o tym myśleć. Nie potrafiłby powiedzieć, w jakim stanie znajdowała się łazienka wczelniej, był jednak na sto procent przekonany, że nie łsniała czystością. Ostatnim razem, kiedy tu był, może na haczykach wisiały świeże ręczniki, a może nie. Uważał jednak, że raczej nie. I na parapecie nie stała butelka z kwiatami.

Z prysznicu ciepło, to pamiętał. Miał zamiar się tym zająć. Nie ulegać wątpliwości, że o wiele przyjemniej jest brać prysznic w pomieszczeniu, w którym wszystko dookoła łśni, a w powietrzu unosi się lekki zapach cytryny i kwiatów.

Z tego też powodu wytarł po sobie płytki i powiesił ręcznik, zamiast rzuć go na ziemię.

W sypialni także widać było rękę tej kobiety. Łóżko zostało starannie zasłane, poduszki były strzępiące. Allena otworzyła okna, by wypuścić do środka świeże powietrze i słońce. Uświadomił sobie, że zbyt długo żył w mroku i kurzu.

Kiedy wszedł do salonu, śpiewała w kuchni. Miała ładny głos, a zapachy, które unosiły się w powietrzu, przypominały mu dzieciństwo. Przyrumieniony chleb, smażony bekon.

Rozpoznał niski warkot wirującej pałki. Mogł tylko pokręcić głową.

- Od jak dawna jesteś na nogach? - zapytał.

- Obudziłam się o świcie. - Podala mu kubek z herbatą. - Było tak cudownie, że nie mogłam zasnąć. Tak tylko się krzątałam.

- Masz do tego wyjątkową smykalkę.

- Ojciec nazywa to nerwową energią. Och, i wypuściłam Hugh na zewnątrz. Był przy drzwiach w tej samej chwili, kiedy postawiłam stopy na podłodze, więc się domyśliłam, że taki ma zwyczaj.

- Rano lubi sobie pobiegać. To taki psi nawyk.

Ze śmiechem przełożyła jajecznicę z patelni na talerz.

- Wspaniały z niego towarzysz. Czulałam się taka bezpieczna, kiedy w nocy spał zwinieły w nogach łóżka. To miłe.

- Opuścił mnie dla sličszej twarzycki. - Conal usiadł i złapał ją za rękę.

- A gdzie twój talerz?

- Już wcześniej coś przegrzyłam. Dam ci w spokoju zjeść. Mój ojciec nie znosi paplaniny przy śniadaniu. Rozwieszę pranie.

- Nie jestem twoim ojcem. Usiądź, proszę. - Zaczekał, dopóki tego nie zrobi. W jej splecionych palcach po raz pierwszy dostrzegł oznaki zdenerwowania. A to co znowu? - Alleno, czy twoim zdaniem oczekuję, że będziesz mi prowadzić dom? Gotowała, podawała jedzenie, sprzątała?

- Nie, oczywiście że nie. - Z jej głosu i oczu zniknęła radość. - Przesadziłam. Zawsze przesadzam. Nie pomyślałam.

- Nie o to mi chodziło, wcale nie. - Wzrok miał przenikliwy, stanowił część jego talentu, dostrzegł więc, jak zeszywniała i opuściła ramiona. - Co ty robisz? Czekasz na wykład? - Pokręcił głową i zaczął jeść. - Zrobili, co w ich mocy, żeby cię sftamsić, prawda? Dlaczego ludziom zawsze tak bardzo zależy, żeby ukształtować innych na własną modłę? Chciałem tylko powiedzieć, że nie masz obowiązku gotować mi posiłków i szorować wanny. W czasie, który tu spędzasz, powinnaś robić to, co sprawia ci przyjemność.

- I tak było.

- Doskonale. Nie usłyszysz ode mnie żadnych narzekań. Nie mam pojęcia, co zrobiłaś z tymi jajkami, chyba je zaczarowałaś.

Znowu się odprężyła.

- To tylko tymianek i szczyptorek z twojego szalenie zaniedbanego ogródka. Gdybym miała dom, hodowałabym zioła i kwiaty. - Wyobrażając to sobie, podparła twarz pięścią. - Przez ogród prowadziłaby kamienna ścieżka, stałaby przy niej ławka, z której można by podziwiać widok. Najlepiej, gdyby w pobliżu była woda, tak żebyś słyszała uderzenia fal o brzeg. Wczoraj w nocy je słyszałam, przypominały bicie serca. - Mrugnęła kilka razy, by odsunąć od siebie ten obraz, i zobaczyła, że Conal się w nią wpatruje. - Co? Och, znowu mnie poniosło. - Już chciała wstać, ale ponownie ujął ją za rękę.

- Chodź ze mną. - Zerwał się na nogi i pociągnął ją za sobą.

- Nacznia...

- Mogą poczekać, a ta sprawa nie.

Zaczął rano, wykonując szkic, ale miał w głowie skończony projekt. Teraz wielkimi susami zmierzal do pracowni i Allena musiała biec, żeby dotrzeć do mu kroku.

- Conal, zwolnij. Nigdzie się nie wybieram.

Nie zważając na jej słowa, pchnął drzwi i wciągnął ją do środka.

- Stań przy oknie.

Ona jednak chodziła po pracowni, rozglądając się wokół szeroko otwartymi, zachwyconymi oczami.

- Jesteś artystą, to cudowne. Rzeźbisz.

Aether wielkością prawie dorównywało parterowi chaty, lecz było o wiele bardziej zagrane. Pośrodku stał stół do pracy, na którym leżało mnóstwo narzędzi, kawałków kamieni i gliny. Wokół rozrzucone były bloki rysunkowe. Na półkach i mniejszych stołach stały dzieła Conala. Tajemnicze magiczne istoty, które tańczyły i unosiły się w powietrzu.

Niebieska syrena na skale czesała długie włosy. Biały smok zionął ogniem. Nie większe niż kciuk wrotki o przebiegłych minach tworzyły krąg. Czarnoksiężnik prawie tak wysoki jak ona rozposcierał ramiona i płakał.

- Są takie pełne życia. - Nie potrafiła się powstrzymać, musiała ich dotknąć. Przesunęła palcem po falujących włosach syreny. - Ja już to gdzieś widziałam - mruknęła. - Nie to, ale coś w tym stylu, z brązu. W galerii w Nowym Jorku. - Spojrzała na Conala, który zniecierpliwionym ruchem kartkował blok. - Widziałam twoje prace w Nowym Jorku. Musisz być sławny.

W odpowiedzi mruknął coś niezrozumiałego.

- Chciałam kupić tę syrenę. Ale byłam z mamą i nie mogłam, bo ona zaraz by powiedziała, że nie stać mnie na tę rzeźbę. Wróciłam do galerii następnego dnia, nie mogłam przestać myśleć o tej syrenie, ale już została sprzedana.

- Stań przy oknie, twarzą do mnie.

- Minęły dwa lata, a ja często o niej myślałam. Zdziwiająco, to była twoja rzeźba, prawda?

Klnąc pod nosem, podszedł i pociągnął ją do okna.

- Unieś głowę, właśnie tak. Nie ruszaj się. I bądź cicho.

- Chcesz mnie narysować?

- Nie, będę budował łóżko. Oczywiście, że cię rysuję. A teraz bądź cicho przez jedną cholerną minutę.

Zacisnęła usta, nie mogła jednak opanować uśmiechu drgającego na jej wargach. Pomyślał, że o to właśnie mu chodziło. O ten ślad wesołości, energii, zachwytu.

Uznał, że najpierw zrobi model z gliny, a potem odleje go w brązie. Potrzebował czegoś, co połyskiwało jak złoto i było ciepłe w dotyku. Jej postać nie nadawała się do kamienia ani drewna. Zrobił trzy pospieszne szkice twarzy Alleny pod różnym kątem, po czym opuścił blok.

- Potrzebny mi zarys twojego ciała. Kształt. Zdejmij ubranie.

- Shucham?

- Muszę zobaczyć, jak jesteś zbudowana. Koszula za bardzo cię zasłania.

- Chcesz, żebym pozowała ci nago?

Z wysiłkiem oderwał się od swoich myśli i spojrzął jej w oczy.

- Gdyby chodziło o seks, nie spałbym na tej twardej jak kamień prywcy. Daję słowo, że cię nie tknę, ale muszę cię zobaczyć.

- Gdyby chodziło o seks, nie byłabym taka zdenerwowana. Zgoda. - Na chwilę przymknęła oczy, zbierając całą odwagę. - Jestem jak misa z owoca. mi - powiedziała do siebie, rozpinając koszulę.

Kiedy ją zdjęła i odłożyła na bok, Conal uniośł brwi.

- Nie, jesteś jak kobieta. Gdyby zależało mi na misce z owocami, tobym ją sobie przyniósł.

6

Była szczupła, niemal koścista, i dokładnie taka, jaka powinna być. Mruczając ze skupieniem oczy, Conal otworzył blok na czystej kartce i zaczął szkicować.

- Nie, trzymaj głowę uniesioną - rozkazał, czując lekką irytację na myśli, że jest właśnie taka, jaka być powinna. - Ramiona do tyłu, jeszcze trochę.

Dłonie płasko skierowane w dół. Nie jesteś pingwinem, rozsun trochę palce.

To wtedy dostrzegł słaby rumieniec barwiący jej skórę i sztywność sylwetki. Idiota, powiedział do siebie, tłumiąc westchnienie. To naturalne, że jest zdenerwowana i zawstydzona, a on nie zrobił nic, żeby poczuła się swobodnie.

Chyba za bardzo przyzwyczaił się do zawodowych modelek, które rozbiegały się bez namysłu. Allena lubiła mówić, więc zagadał do niej.

- Opowiedz mi o tych twoich kursach.

- Co takiego?

- O kursach. Powiedziałaś, że skończyłaś wiele różnych kursów. Czego się uczyłaś?

Zacisnęła usta, walcząc z niemądrym impulsem każącym jej skrzyżować ramiona na piersi.

- Myślałam, że nie wolno mi mówić.

- A teraz ci wolno.

Słyszac w jego głosie irytację, przewróciła oczami. Czego się po niej spodziewał, że będzie umiała czytać w myślach?

- Na przykład chodziłam na lekcje rysunku.

- Naprawdę? Odwróć się trochę na prawo. I czego się dowiedziałaś?

- Że nie jestem artystką. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Powiedziano mi, że mam dobre oko do kolorów i kształtów oraz wyczucie estetyki, ale nie za dobrze sobie radzę z realizacją moich zamierzeń.

Tak, jest o wiele lepiej, kiedy mówi. Jej twarz znownu się ożywiła.

- Zaniechali cię?

- Właściwie nie. Rysuję, kiedy jestem w nastroju.

- Kolejne hobby?

- Och, mam ich całą masę. Jak dla przykładu muzyka. Bratam lekcje muzyki.

O, zaczęła się odprężać. Przestała mieć wyraz oczu królika złapanego w sidła.

- Jaki wybrałaś instrument?

- Flot. Jestem całkiem dobra, ale nigdy nie przyjmij mi do orkiestry. - Wrzuciła ramionami, a Conal w ostatniej chwili powstrzymał się przed ostrą uwagą, żeby stała spokojnie.

- Uczęszczałam na kurs programowania komputerowego, co okazało się kompletnym niepowodzeniem. Podobnie jak większość kursów biznesowych. Musiałam przez to zrezygnować z pomysłu otworzenia sklepu z rękodziełem. Z wyrobami bym sobie poradziła, ale nie z prowadzeniem rachunków.

Jej wzrok powrócił do syreny. Zazdrościła mu, nie samej rzeźby, lecz ta-
lentu i wizji.

- Stań na palcach. O tak, cudownie. Nie ruszaj się przez minutę. Dlaczego nie znajdujesz sobie współniaka?

- Do czego?

- Do sklepu, jeśli chcesz mieć sklep. Kogoś z głową do interesów.

- Przede wszystkim dlatego, że sama na tyle znam się na interesach, by wiedzieć, że nigdy nie będzie mnie stać na nowojorski czynsz i początkowe koszty. - Poruszyła ramieniem. - Wydatki ogólne, wyposażenie, zapasy. Przewadzenie firmy to studium stresu, Margaret zawsze to powtarza.

Ach, nieoceniona Margaret, której już nie lubił.

- A co cię obchodzi, co ona mówi? Nie ma racji. W każdym razie nie do końca. Odwróć się, wiesz, że masz piękne plecy?

- Tak? - Zaskoczona spojrzała na niego przez ramię.

- Właśnie tak! Stój w tej pozycji, tylko opuść trochę podbródek i patrz na mnie.

O to mu chodziło. Żadnej nieśmiałości. Skromność to zupełnie inna sprawa. Świadczyły o niej wzniezione oczy, pochylenie głowy. I szczypta zadowolenia z siebie widoczna w wygięciu ust.

"Allena Wróżka", pomyślał, gotów do wykonania formy w glinie. Wyrwał szkice z bloku i przypiął do ściany.

- Odpocznij chwilę, a ja przygotowuję glinę. - Przechodząc obok Allena, z roztańżeniem musnął jej ramię i zatrzymał się nagle. - Chryste, jesteś zimna jak lód. Dlaczego nie nie powiedziałaś?

Wolnym ruchem odwróciła się do niego.

- Nie czulam zimna.

- Nie przyszedł mi do głowy, żeby rozpałić ogień. - Poglądził ją po ramieniu i zsunął palec na topatkę, gdzie w wyobraźni widział skrzydła. - Zaraz to zrobię.

Pochylił się ku niej, nie odrywając spojrzenia od jej oczu. Rozchyliła usta, na twarzy czuł jej delikatny oddech.

Drgnął gwałtownie, jak ktoś budzący się ze snu. Szybkim ruchem cofnął ręce.

- Obiecałem, że cię nie tknę. Przepraszam.

Napięcie, które w niej wzbierało, rozplynęło się nagle. Conal szarpnięciem schwytał koc z łóżka.

- Szkoła. Och, przepraszam.

Stali, rozdzieleni stołem. Conal, z kocem w dłoniach, miał wrażenie, że to nie. Teraz nie widział w niej żadnej nieśmiałości ani skromności, tylko ciepłość i obietnicę.

- Nie chce cię pragnąć. Rozumiesz?

- Oczekujesz, że powiem tak. - Uświadomiła sobie, że jest naga, i nie chodzilo tylko o jej ciało. - Byłoby łatwiej, gdybym powiedziała, że rozumiem. Ale nie mogę, nie powiem tak. Ja tego chcę, Conal. Chcę ciebie.

- W innym miejscu, w innym czasie - mruknął. - Wtedy niczego nie trzeba by było rozumieć. W innym miejscu, innym czasie ja też bym chciał. - Ale to jest teraz - odparta spokojnie. - I tutaj. Wybór należy do ciebie. Musiał zyskać pewność, że chodzi wyłącznie o nią.

- Możesz to zdjąć?

Uniosła dłoń do wisiora, swojej ostatniej tarczy. Bez słowa zdjęła łańcuszek i położyła go na stole.

- Myślisz, że bez niego poczuje się inaczej?

- Teraz nie ma między nami magii, tylko ty i ja, tacy, jacy jesteśmy. - Zbliżył się i zarzucił na nią koc. - Wybór w równym stopniu jest twój, jak mój. Masz prawo powiedzieć nie.

- W takim razie... - Położyła mu dłoń na ramionach, przysunęła wargi do jego ust. - Mam też prawo powiedzieć tak.

I to ona pokonała tę niewielką odległość, sprawiając, że ich usta i ciała się spotkały. I ona zrzuciła okrycie na podłogę, kiedy objęła go za szyję.

Oddała mu całkowicie, bez reszty całą miłość, którą tak niedawno odkryła w sercu. Jej usta uwodziły, dłońmi uspokajały, ciało ulegało.

Wciąż miał wybór. Ona dokonała swojego, lecz Conal wciąż mógł odmówić lub wyrazić zgodę. Zanim władzę nad nim przejęła krew, nim osłepilo go požądanie, ujął jej twarz w dłoń i spojrzał w oczy.

- Bez żadnych obietnic, Alleno.

Cierpiał. Widziała troskę w jego oczach, powiedziała więc coś, co powinno go uspokoić, taką przynajmniej miała nadzieję. I co było prawdą.

- I bez żalu.

Przesunął kciukami po jej policzkach, z taką zrzeczością odzwierając kształt jej twarzy, z jaką robił to na papierze.

- Bądź więc ze mną.

Przeza była twarda i wąska, lecz im się wydawało, że to łoże wystlane płatkami róż. Powietrze wciąż było wilgotne i chłodne po burzy. Allena jednak czuła wyłącznie ciepło ciała Conala na swoim.

Wreszcie.

Wiedział, że dłoń ma wielkie, szorstkie i pokryte odciskami od pracy, często nieuważne. Z nią nie będzie nieważny, nie będzie się śpieszył, lecz smakował każdą chwilę, którą sobie ofiarują. Dotknął jej delikatnie, łagodnie, czepiając przyjemność z ciała, które niedawno szkitował. Długie kończyły i gładka biała skóra. Jej westchnienie było niczym muzyka, wygrywająca jego imię.

Ściągnęła mu bluzę i znowu westchnęła, gdy ciało spotkało się z ciałem; znowu wymruczała jego imię, operując usta na żyłe pulsujące na jego szyi.

Data mu słodycz, której sobie odmawiał. W zamian zaofertował wszystko, co miał, nawet jeśli było tego niewiele.

Unosiła się pod nim i poruszała, jakby robili to od zawsze. Płynęła razem z nim lub przeciwko niemu, w jednej chwili miękka, w drugiej silna. Jej puls, który bił coraz szybciej, był jak jego własny.

Pachniała mydłem, smakowała świeżo jak deszcz.

Patrzył, jak się unosi i ponownie staje się wódką, przecina powietrze sero, roku rozpostartymi skrzydłami. A gdy osiągnęła szczyt, spojrziała mu w oczy z uśmiechem.

Nikt nigdy nie dał jej tak wiele, nie pokazał, jak wiele ona ma do zaofertowania. Zadrżała na myśl o tym, czując w sercu ogromną radość, bo znalazła dom.

Wygłębia się i otworzyła, tak by mógł ją wypełnić. Gdy się w nią wsunął, jej piękność go oszołomiła, moc zabrzmiiała w uszach.

Kiedy wzajemnie brali się w posiadanie, żadne z nich nie zauważyło wyrytej w srebrze gwiazdy, która płonęła niebiesko niczym błyskawica.

Leżała zwinęta wygodnie przy jego boku, policzek opierając mu na piersi. Cudownie było słuchać mocnego bicia jego serca. Jakby się gniewał, pomyślała, choć był najdelikatniejszym z kochanków.

Nikt nie mógłby okazać jej takiej czułości, gdyby nie miał tej czułości w sobie. I to, pomyślała, zamykając oczy, zupełnie wystarczy.

- Zamarzaś - mruknął.

- Nieprawda. - Wtuliła się w niego. Już raczej zamarnie na śmieć, niż pozwolił mu się ruszyć. Uniosła jednak głowę, by się do niego uśmiechnąć.

- Alleno Kennedy. - Muskał palcami jej kark. - Wyglądasz na zadwołoną. - Bo tak się czuję. Masz coś przeciwko temu?

- Byłbym głupcem, gdybym miał.

Ucałowała go w czubek brody; wrzucił go ten słodki, spontaniczny gest. - A Conal O'Neil nie jest głupcem, prawda? A może jest? - Przechyliła głowę w bok. - Jeśli my nie możemy wyjść poza pewien punkt i pójść do wioski, to czy nie oznacza to, że nikt z wioski nie może przyjść tutaj?

- Pewnie tak.

- Więc zrobimy coś niemądrego. Chodźmy popływać nago w morzu.

- Chcesz pływać nago w morzu?

- Zawsze o tym marzyłam. Właśnie to sobie uświadomiłam. - Stoczyła się z prycy i pociągnęła go za rękę. - Zrób ze mną to głupstwo, Conal.

- *Leannan*, pierwsza fala cie zmiądzdy.

- Nie. - *Leannan*. Nie miała pojęcia, co to słowo znaczy, lecz brzmiało czule i sprawiło, że ogarnęła ją ochota, by tańczyć. Obiema dłońmi przeczeswała włosy, w jej oczach zapaliło się wyzwanie.

- Ściągnijmy się.

- Popędziła jak królik, zmuszając go do wstania.

- Poczekaj. Cholera, morze jest za bardzo wzburzone.

- Ma kości jak ptaszek, pomyślał, tapiąc po drodze koc. W ciągu minuty połamie sobie połowę.

Nie, wcale nie skacze jak królik; spostrzegł po chwili. Biegła jak gazela, długi, płynny krokami, dzięki którym niemal już dotarła do pieniących się na brzegu fal. Zawołał ją, ruszając w pościg. Serce niemal przestało mu bić, gdy zanurkowała pod ścianę wody.

- Słodki Jezu.

Dobiegł dopiero na plażę, gdy ze śmiechem się wynurzyła.

- Ojej, ale ta woda jest zimna.

Z wysiłkiem dojrzała do płycizny, odsuwając z twarzy mokre włosy. Serce stanęło mu po raz drugi, choć tym razem nie ze strachu.

- Jesteś zjawiskiem, Alleno.

- Nikt nigdy mi tego nie mówił. - Wyciągnęła do niego rękę. - I nikt nie patrzył na mnie tak jak ty. Popływasz ze mną.

Conal pomyślał, że minęło zbyt wiele czasu, odkąd zrobił jakies głupstwo.

- Poczekaj.

Potężna fala zbiła ich z nóg, wciągnęła w osiepiający, ogłuszający świat. To była wolność, butne wyzwanie rzucane losowi. Przynależni do siebie, okrecili się pod naporem fal.

Wypłynęli bez tchu, po to tylko, by znów zanurkować. Jej krzyk nie był krzykiem strachu, lecz zwycięstwa, gdy obejmując mocno Conalą, wystawiła głowę nad powierzchnię.

- Utopisz nas oboje! - zawołał, ale w jego oczach migotały iskierki wesołości.

- Nie. To niemożliwe. Dzisiaj jest czas wyłącznie na cuda. - Zaplotła mu ręce na szyi. - Nurkujemy jeszcze raz.

Pisnęła z zachwytem, bo uniosł ją i razem skoczyli w wielką falę.

Kiedy wyszli na brzeg, z trudem łapiąc powietrze, trzymali się za ręce.

- Szczękasz zębami.

- Wiem. To było cudowne. - Otuliła się jednak w koc, który Conal zarzucił jej i sobie na ramiona. - Nigdy w życiu czegoś takiego nie robiłam. Ty za to pewnie setki razy.

- Ale nigdy z kimś podobnym do ciebie.

Pomyślała, że nic miłszego nie mógł powiedzieć. Zatrzymała te słowa w pamięci, przytulając go do siebie, do swego serca.

- Co znaczy *leannan*?

- Hmm?

Oparła mu głowę na ramieniu, rękoma obejmując go w pasie. Conal całym sobą odczuwał wielki spokój.

- *Leannan*. Tak się do mnie zwróciłeś, więc jestem ciekawa, co to znaczy. Jego dłoń znieruchomiła na jej włosach.

- To takie określenie - odparł ostrożnie. - Wyraża przywiązanie. Najbliższym odpowiednikiem byłoby „serduszek”.

- Podoba mi się.

Zamknął oczy.

- Alleno, prosisz o zbyt mało.

I mam nadzieję na wszystko, pomyślała.

- Nie musisz się o to martwić, Conalu. Ja się nie martwię. Chodźmy, nim

oboje całkiem zsiniejemy. Ja zaparzę herbatę, a ty zapalisz ogień w kominku. – Pocałowała go. – Ale najpierw nabierzam trochę muszli.

Wysunęła się z jego objęć, zostawiając go z kocem w dloniach, kręcącego głową. Większość muszli pokrywających plażę polamały fale, ale to jej najbardziej nie przeszkadzało. Conal poszedł do pracowni włożyć dzinsy.

Kiedy wrócił, miała już cały stos muszli. Podał jej swoją bluzę i wisiorek.

– Nie włożę go, jeśli masz coś przeciwko temu.

– Jest twój. – Z rozmysłem, jakby rzucając wyzwanie losowi, zaplął łańcuszek na jej szyi. – Masz, włoż to, zanim zamarznesz.

Wciągnęła bluzę i kucnęła, by włożyć muszle na kocu.

– Conal, Kocham cię niezależnie od tego, czy mam ten wisiorek na szyi, czy nie. A ponieważ miłość do ciebie sprawia, że jestem szczęśliwa, to nie powinno cię martwić. – Wyprostowała się. – Nie zepsuj tego – mrugnęła. – Cieszymy się tym, co mamy dzisiaj, a jutro zobaczymy, co dalej.

– Dobrze. – Ujął jej dłoń i uniósł do ust. – Chciałbym ci jednak coś obiecać. – Słucham cię.

– Ten dzień zawsze będzie dla mnie bardzo cenny, tak samo jak ty.

7

Allena wygrzebala gdzieś stare dzinsy Conala, znalazła wystrzępiony sznurzek i nożyce, po czym zabrala się do pracy. Obcięte dzinsy, zaimprovizowany pasek i workowata bluza były w sam raz dla rozbitka na bezludnej wyspie, ale spełniały swoje zadanie.

A ponieważ Conal uparł się, że tym razem on zaparzy herbatę, zajęła się rozwieszaniem prania. I marzeniami.

Mogłoby tak być zawsze, myślała. Długie cudowne dni we dwoje. Conal rzeźbi w atelier, ona prowadzi dom i pracuje w ogrodzie... i och, zajmuje się dziećmi, kiedy przyjdą na świat.

Pomalowałyby okiennice i mały tylny ganek. Od frontu posadziłaby ziola i róże – jedynie róże – które pięłyby się i rozrastały, i za każdym razem, gdy wchodziłaby do domu, czułaby się tak, jakby przechodziła przez baśniowe wrota.

Bo też byłaby to jej baśń.

Naturalnie musieliby dobudować pokoje dla dzieci. Pieterko z mamsardowymi oknami. Przydałaby się też większa kuchnia i druga łazienka. Ale żadna z tych zmian nie odebrałaby domowi wyglądu nadmorskiej chatki.

Allena przyrzędałaby wysmienite posilki, dbała o to, by okna zawsze błyszczwały, szyła firanki, które powiewałyby na wietrze.

Otrząsnęła się z tych marzeń, przypinając na sznurze wilgotne prześcieradło. Jej matka byłaby zgorzsona. Do zajęć domowych zatrudnia się ludzie, ponieważ ty zajmujesz się robieniem kariery. Jesteś profesjonalistką... w jakiejś dziedzinie.

To oczywiście tylko fantazja, powiedziała sobie dziewczyna. Musi jakoś zarobić na życie, ale tym będzie martwiła się później. Teraz miała zamiar cieszyć się każdą chwilą, przeżywać radosne uniesienia wywołane tym, że się zakochała, i bolesnym pragnieniem, by być kochaną.

Mają dla siebie ten dzień i jutro. Cokolwiek stanie się potem, ona niczego nie będzie żalowała.

Rozwiesiła pranie i oparła pusty kosz na biodrze. Zobaczyła, że ze wzgórz zbiega Hugh.

– Ha, więc zdecydowałeś się wrócić do domu. Co tam masz? – Zdumiona utkwiła wzrok w brązowym przedmiocie, który trzymał w pysku pies. – Przecież to moja torba!

Upuściła kosz i podbiegła do niego. Hugh, spodziewając się zabawy, zaczął skakać wokół niej.

Conal obserwował ich z progu. Herberta parzyła się w drbanku i wyszedł, żeby zawołać Allene, ale zrezygnował.

Prześcieradła wydymały się na wietrze niczym żagle. Conal poczuł ich świeży, wilgotny zapach, zmieszany z aromatem rozmarynu i melisy dochodzącym z grządki, którą Allena rano oczyściła z chwastów. Usłyszał jej dźwięczny, radosny śmiech, gdy bawiła się z psem.

Jego stare dzinsy wisiały na niej, choć obcięła je tak, że sięgały jej ponad kostki. Podwinęła rękawy bluzy, ale kiedy biegła z psem, mankiety zsunęły się i opadły na dłonie. Nie miała butów.

Był to radosny widok. A kiedy on zakazał radości wstępu do swego życia? Cień przeznaczenia z każdym mijającym rokiem stawał się większy, Conal kulił się pod nim, powtarzając sobie, że jest w pełnym świetle.

Nie pozwalał nikomu się zbliżyć, nic nie mogło być ważniejsze od jego pracy. Odsunął się od ojca i domu. Takiego dokonał wyboru, miał do tego prawo. Teraz patrząc, jak Allena wyszarpuje jakiś przedmiot z pyska Hugh i bawi się z psem na podwórzu zalany promieniami słońca i pełnym biały żagli prześcieradeł, po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy czegoś po drodze nie utracił.

A jednak, cokolwiek utracił, ona tu była.

Zbliżyła się noc przesilenia.

Może nie przyjąć daru. Może odmówić. Chociaż ta kobieta tak bardzo go pociągała, pod koniec najdłuższego dnia to on zdecydował o swoim losie.

I to nie magia określi jego przeznaczenie, lecz jego własna wola.

Zobaczył, jak Allena ciągnie to coś, co Hugh trzymał w zębach. Pies otworzył pysk i potoczyła się do tyłu, przyciskając ów przedmiot do piersi, a potem usiadła na ziemi. Conal wyskoczył na podwórze, czując, jak serce bije mu mocniej.

- Zrobiłaś sobie coś? - Wydał ostre polecenie po gaelicku i Hugh zwiłsił łeb.

- Jasne, że nie. - Chciała wstać, ale Conal już przy niej był, obejmował ją i gładził, mrucząc po gaelicku coś, co brzmiało uroczo. Serdecznie. Serce skoczyło jej w piersi. - Conal, wszystko w porządku.

- Ten przeklęty pies wazy więcej niż ty, a masz kości jak praszek.

- Bawiliśmy się tylko, a ty urażałeś Hugh. Chodź tutaj, malutki, już wszystko dobrze.

Conal przysiadł na piętach i z grymasem patrzył, jak Allena tuli psa.

- Wszystko w porządku, on nie mówił poważnie, cokolwiek to było. Prawda, Conal?

Conal dostarczył spojrzenie, jakie rzucił mu pies, i musiał określić je jako pełne satysfakcji.

- Nieprawda.

Roześniatała się tylko i pocałowała Hugh w nos.

- Jaki mądry, dobry piesek - mówiła śpiwnie. - Znalazł moją torbę i przyniósł do domu. Za to ja jestem kompletną idiotką. Zupełnie o niej zapomniałam.

Conal przyjrzał się wielkiej torbie. Była mokra i brudna, poznaczona sładanymi psich zębów, Allena jednak nie zwracała na to uwagi.

- Niezłe oberwała.

- Musiałam upuścić ją w czasie burzy. Wszystko jest: paszport, karty kredytowe, bilety, Kosmetyki. - Przytuliła torbę ucieleszona, że odzyskała szminkę. - Och, i tużin innych rzeczy. W tym kopia programu wyścisków. Myślisz, że telefon już działa? - Nie czekając na jego odpowiedź, skoczyła na nogi. - Zadrwonię do Margaret do hotelu, dam jej znać, że ze mną wszystko w porządku. Pewnie okropnie się martwi.

I pobiegła do domu, nie wypuszczając torby z dłoni. Conal został tam, gdzie był.

Nie chciał, żeby telefony działały. Nie chciał rozbić tej banki, w której tkwili. Świadomość ta sprawiła, że zaczął drzeć. Pomyślał, że Allena wykorzysta pierwszą okazję, aby wy dostać się z ich świata.

Oczywiście że tak. Przycisnął palce do oczu. Czy sam nie postąpiłby identycznie? Miała przecież swoje własne życie poza tym miejscem, bez niego. Romanyczne okoliczności na chwilę ją oszłomiły, podobnie jak o mało nie oszłomiły jego. W końcu jednak Allena stanie twarzą obiemą nogami na ziemi i pojedzie dalej. Tak powinno być. I on tego pragnie.

Kiedy jednak siedł za nią do domu, czuł ból, jakiego przedtem nigdy nie doznał.

- Połączyłam się - oznajmiła Allena z zadowolaniem. Stała ze słuchawką w dłoni, a to, co zwiertało połowę jej doczesnych dóbr, leżało na stole. - Margaret zameldowała się, dzwonią teraz do jej pokoju. Mam tylko nadzieję, że nie zawiadomiła rodziców. Nie zniształabym myśli, że oni... Margaret! Och, tak się cieszę, że...

Urwała, a Conal patrzył, jak uśmiech gasnie w jej oczach.

- Tak, wiem. Bardzo mi przykro. Nie zdążyłam na prom i...

Bez słowa minął ją i wyjął kubki z kredensu. Nie miał zamiaru zostawić jej samej.

- Tak, masz rację, to było nieodpowiedzialne. Niewybaczalne też, tak, zostawić cię samą bez uprzedzenia. Próbowałam...

Dostarczył moment poddania się, bo ramiona jej opadły, a twarz stała się maską bez wyrazu.

- Rozumiem. Nie, oczywiście, nie można oczekiwać od ciebie, że po tym wszystkim zatrzymasz mnie w firmie. O tak, wiem, od początku byśś zadania, że mi się nie uda. Jasno o tym mówiłaś. Przepraszam, że cię zawiodłam. Tak, znowu.

Wstyd, zmęczenie i rezygnacja otoczyły ją mgłą kłębski. Zamknęła oczy.

- Nie, Margaret, przeprosiny nie mają znaczenia, gdy ludzie na tobie polegają. Zadzwońiłaś do rodziców? Nie, masz rację. Jaki miałoby to sens?

- Cholerna suka - mruknął Conal. Zobaczymy, jak jej się spodoba wystrachanie dla odmiany paru ostrych słów, pomyślał i wyrwał Allenie słuchawkę z dłoni. Usłyszał ciągły sygnał, co oznaczało, że jego wścibeństwo nie znajdzie ujścia.

- Musiała iść - wykrztusiła Allena. - Program dnia. Powinnam... Wybac.
- A niech mnie diabli, jeśli wybaczę. - Złapał ją mocno za ramiona, nim zdążyła uciec. Na jej rzesach śluzły łzy. Conal zatował, że nie trzyma w dłoniach kartku Margaret. - Nie pójdziesz lizać swoich ran w ukryciu. Dłaczego pozwalasz, żeby tak cię traktowała?

- Bo to racja, zachowałam się nieodpowiedzialnie. Miała wszelkie powody, żeby mnie wylać. Nigdy zresztą by mnie nie przyjął, gdyby nie presja rodziny.

- Presja rodziny? Pieprzyć to! A gdzie jej rodzinna solidarność? Zapytała cię, czy wszystko w porządku? Co się z tobą dzieło? Gdzie jesteś? Czy w ogóle o coś cię zaprętała?

- Nie.

Po jej policzku spłynęła łza, co jeszcze bardziej go rozżalowało.

- A gdzie twój gniew? - zapytał ostro.

- Jaka korzyść z gniewu? - Znużonym gestem otarła łzę. - Sama sobie jestem winna. Tak naprawdę nie obchodzi mnie ta praca, na tym polega problem. Nie przyjąłabym jej, gdybym miała jakiś wybór. Margaret chyba ma rację, zrobiłam to specjalnie.

- Margaret to kretyka.

- Nie, wcale nie. - Allena uśmiechnęła się niepewnie. - Jest bardzo zadowolona i uparcie dąży do celu. Nie ma sensu dłużej się żalić. - Poklepała go po dłoni, po czym odsunęła się, by nalać herbaty. - Jak trochę się uspokoję, zadzwonię do rodziców i wszystko im wyjaśnię... Boże. - Przcisnęła dłoń do biału i zamknęła oczy. - Nie znoszę sprawać im zawodu. Ciągłe to samo, jak cykl, którego nie potrafię przerwać. Gdybym mogła coś zrobić, gdybym w czymś mogła być dobra. - Kręcąc głową, podeszła do lodówki, by wylać z niej reszkę wczorajszej zupy do podgrzania. - Nie masz pojęcia, jak zazdroszczę ci talentu i przekonania do tego, co robisz. Mama zawsze powtarza, że gdybym skupiła energię na jednym celu, zamiast rozpraszać ją na wiele drobniaków, wyrosłabym ponad przeciętność.

- Powinna się wstydić, że tak do ciebie mówi.

Allena odwróciła się, zaskoczona gwałtownym tonem jego głosu.

- Ona nie mówi tak, jak to zabrzmiało w moich uszach. Musisz zrozumieć, że oni wszyscy są błyskotliwi i inteligentni, oddani swojej pracy. Ojciec jest ordynatorem oddziału chirurgii, mama wspomniczką w jednej z najbardziej znanych kancelarii prawniczych na Wschodnim Wybrzeżu. A ja nie potrafię.

Ogarnął ją gniew. Z trzaskiem postawiła garnki na kuchni. Conal, zadowolony z tego widoku, skrzyżował ramiona na piersi i obserwował, jak jej frustracja rośnie.

- I jest James ze swoją wspaniałą rozwijającą się praktyką, cudowna żona-trójeść i córka z poświęconym notarialnie geniuszem. Tak na marne, nieznoszący z niej hańb, ale wszyscy powtarzają, że jest po prostu nad wiek rozwinięta. Jakby „nad wiek rozwinięta” i „niegrzeczna” to były synonimy. I jest Margaret, ze swoim idealnym biurem, idealną garderobą, idealnym domem i idealnie obrzydliwym mężem, który nie widzi niczego po-

za filmami artystycznymi i swoją kolekcją monet. - Wlata zupę do garnka. - W każde święto Dziękczynienia wszyscy siedzą przy stole i poklepują się po plecach, gratulując sobie wzajemnie sukcesów i błyskotliwości. A potem patrz na mnie, jakbym była jakimś podrzutkiem zestawionym na progu, którego trzeba było przyjąć ze względów humanitarnych. A ja, choćbym nie wiem jak się starała, nie zostanę lekarzem, prawnikiem czy cholernym wodem indyjskim, ponieważ nie potrafię robić.

- Teraz to ty powinnaś się wstydić.

- Co? - Przycisnęła palce do skroni. Gniew ją oszołomił, odbierając jasność myśli, co było powodem, dla którego zwykle starała się panować nad emocjami. - O co chodzi?

- Chodź tutaj. - Złapał ją za rękę i pociągnął do salonu. - Co tu zrobiłaś?

- Z czym?

- No, co tu robiłaś?

- Odkurzyłam?

- Do diabła z odkurzaniem, Alleno. Popatrz na kwiaty, świece, misę z polanymi muszlami. I popatrz tutaj. - Pociągnął ją do drzwi na ganek, które otworzył kopnięciem. - Ten ogród aż do dzisiejszego poranka był zamieciony. Gdzie jest piasek, który leżał na ścieżkach, a który zauważyłem dopiero wtedy, gdy zniknął? Bielizna schmie na wietrze, w kuchni grzeje się zupa. A mój cholerny przysznic nie przecieka. Kto to wszystko zrobił?

- Każdy potrafi zamieść ścieżkę, Conalu.

- Ale nie każdemu wypadnie to do głowy. Nie każdego obchodzi. I nie każdy znajduje przyjemność w robieniu takich rzeczy. W ciągu jednego dnia stworzyłaś przytulny dom, jakiego od dawna tu nie było, od tak dawna, że zapominałem, co to znaczy. Myślisz, że to nieistotne? Że nie ma wartości?

- To takie... zwyczajne - powiedziała, nie znajdując lepszego określenia. - Nie zrobię kariery, zrywając polne kwiaty.

- Pracować na życie można gdziekolwiek, jeśli zajdzie taka konieczność. Masz potrzebę zbierania polnych kwiatów i muszli, Alleno. I są ludzie, którzy cnią wdzięczność z tego powodu i dostarczają wartości, jakie wnosisz w ich życie.

Gdyby już nie była w nim zakochana, zakochałaby się w tej chwili, gdy w uszach brzmiały jej jego słowa, gdy patrzyła w jego pościemię od zniecierpliwienia oczu.

- To najmlsza rzecz, jaką w życiu słyszałam. - Położyła dłoń na policzkach Conala. - Najmlsza. - Delikatnie musnęła wargami jego usta. - Dziękuję.

Zanim zdążył się odezwać, potraśnięła głową, a potem oparła mu ją na ramieniu.

Odrodzili się od świata. Wylądowali czas. Conal skrzywiłby się na myśl, że to coś w rodzaju magii, Allena jednak nie potrafiła znaleźć innego słowa.

Pozowała mu ponownie, gdy popołudniowe słońce wpadało ukosnie przez okna do pracowni. A potem patrzyła na siebie powstającą z gliny.

Ponieważ go o to pytała, opowiedział jej o latach spędzonych w Dublinie, o studiach i pracy. O chudych studenckich czasach, kiedy żył konserwami i sztuką. O objawieniu, które spadło na niego niczym cud w jakiejś marnej galerii.

Dzięki pierwszej sprzedanej pracy zyskał luksus czasu, miejsce do pracy i nie musiał już nieustannie się martwić, czy zdoła zapłacić czynsz. Kolejne sprzedane prace zapewniły mu luksus wyboru, w końcu stać go było na wynajęcie własnego atelier.

Choć miał mówić swobodnym tonem, Allena zauważyła, że wspominając Dublin, nie nazywał go domem. Nic jednak nie powiedziała.

Później, kiedy przykrył glinę wilgotną ścierką i umył się w malej umywalce, poszli na długi spacer wybrzeżem. Rozmawiali o setce spraw, ani słowem wszakże nie wspomnieli o gwieżdzie, którą Allena nosiła na sercu, czy o kamiennym kręgu rzucającym cień ze szczytu klifu.

Kochali się przy blasku słońca wciąż stojącego wysoko na niebie. Ciepło jego promieni ogrzewało skórę Alleny, gdy unosiła się nad Conalem.

Zapadł wieczór, lecz słońce pozostało, połyskując i drżąc, jakby nie miało zamiaru ustąpić miejsca nocy. Allena zajęła się naprawianiem starej kołonki, którą znalazła na półce w szafie, Conal szkitował, a pies drzemał, zwinęty w kłębek pomiędzy nimi.

Ona ma niezwykle wyrazistą twarz, pomyślał Conal, i jakże rozmarzoną teraz, gdy siedzi i szyje. Wszystko, co czuła, skupiało się w tych oczach barwy miękkiej, czystszej szarości. Czarodziejski urok ukryty w tych oczówkach jeszcze się nie obudził. A kiedy się obudzi, wyobrażał sobie Conal, każdy mężczyzna, na którym spocznie jej spojrzenie, zostanie zaręczony.

Z jaką łatwością i zadowoleniem przystosowała się do niego, jego domu i życia, nie burząc przy tym ustalonego rytmu. I jakże łatwo byłoby przystosować się do niej. Pomimo gwałtownych wybuchów pożądania i namiętności oznaczałoby to ukojenie.

Co on ma z nią zrobić? Jak odepchnąć uczucia, które rozbuźliła w jego sercu? I skąd miał wiedzieć, czy są one prawdziwe?

Conal – odezwiała się cicho Allena. Jego ponure, burzliwe myśli brzęczyły w powietrzu jak ostrzeżenie. – Nie możesz dać temu spokój? Nie potrafisz cieszyć się chwilą i po prostu czekać, co będzie?

– Nie. – Zirykowało go, że dostrzegła jego nastroj, choć nic przecież nie mówił. – Pozwolić innym kształtować swoje życie, to twoja metoda, nie moja. Dłoń jej drgnęła, jak po uderzeniu, zaraz jednak powróciła do płynnych ruchów.

– Tak, masz rację. Całe moje życie staram się zadowolić ludzi, których kocham, i nic mi to nie daje. A oni nie kochają mnie dość mocno, by zaakceptować. Poczul w sercu skurcz, jakby, odepchnął ją w chwili, w której powinien był zatrzymać.

– Alleno.

– Nie, nic się nie stało. W gruncie rzeczy oni mnie kochają, tylko że nie tak mocno albo nie tak samo... jak ja kocham ich. Chcą dla mnie rzeczy, które są poza moim zasięgiem... albo inaczej, których ja nie pragnę wystartować mocno, by naprawde się postarać. Nie umiem nakładać ograniczeń na swoje uczucia. Nie jestem taka.

– A ja umiem. – Wstał i zaczął krzątyć po pokoju. – To nie jest kwestia uczuć, tylko sposób bycia. Nie mogę, nie pozwolę sobie kierować, chociaż zależy mi na tobie bardziej, niż powinno po tak krótkim czasie.

– I z tego powodu nie ufasz wszystkiemu, co się dzieje pomiędzy nami. – Skinęła głową, odwróciła nitkę i odłożyła igłę. – To rozsądne podejście.

– A coż ty wiesz o rozsądku? – zapytał ostro. – Jesteś najbardziej nierozsądną kobietą, jaką w życiu spotkałem.

Uśmiechnęła się przelotnie.

– Łatwiej rozpoznać czyjs rozsądek osobie, która ma go niewiele.

Usta mu drgnęły, usiadł jednak.

– Jak możesz być taka spokojna, widząc, co się dzieje?

– To najbardziej zadziwiające dwa dni w moim życiu, najbardziej podniecające i najpiękniejsze. – Rozpostarła ręce. – Nic nigdy nie może mi ich odebrać. I czeka maie jeszcze jeden dzień. Jeden długi i cudowny dzień. Włęcz...

– Wstała i przeciągnęła się. – Mam ochotę wziąć lampkę wina i wyjść przed dom, żeby popatrzeć na wschodzące gwiazdy.

– Nie. – Conal ujął ją za rękę. – Poczekał, ja przyniosę wino.

Noc była idealna, niebo czyste jak szkło. Morze falowało, przypływało i odpływało, woda chwytła ostatnie refleksy odchodzącego dnia i połyskiwała niczym klejnoty.

– Powinieneś postawić tu ławki – zaczęła mówić Allena. – Tu i tu, z rzeźbionymi siedzeniami i wygiętymi oparciami, z cedru, który z czasem nabierze srebrnej barwy.

Zastanawiał się, dlaczego sam o tym nie pomyślał, uwielbiał przecież tu siedzieć i obserwować morze.

– Co jeszcze byś zrobiła, gdybyś była na moim miejscu?

- Koto ławek postawiłabym wielkie donice z rozmaitymi kwiatami, zwisającymi i pnącymi się po drabinkach. Granatowe donice - zdecydowała i zerkała na niego nieśmiało. - Sam mógłbyś je zrobić.

- Chyba tak. Donice - powtórzył.

Pomysł był zabawny. Nikt wcześniej nie oczekiwał od niego, że będzie lepił nacynia. Przesunął dłonią po włosach, popijając wino. Uświadomił sobie, że z przyjemnością zrobiłby dla niej te donice, bo chętnie zobaczyłby jej radość na ich widok.

- Granatowe - powtórzyła - żeby pasowały do okiennic, kiedy się je pomaluje farbą, którą znalazłam w pralni.

- I ja będę je malować?

- Och nie, nie można marnować twojego talentu na równie przyziemne sprawy. Ty lepszą pękate garnki, ja maluję okiennice.

- Wiem, kiedy ktoś się ze mnie śmieje.

Zerknęła tylko szybko na niego, po czym ruszyła w kierunku wody.

- Wiesz, co powinienam robić dzisiaj wieczorem?

- Co takiego?

- Obsługiwać rzutnik na wykładzie o megalitach, który Margaret wygłosi po kolacji.

- No to cudem udało ci się tego uniknąć, co?

- Nie musisz mi mówić. A wiesz, co będę robiła zamiast tego?

- Ach, wrócisz do domu i będziesz dziko się ze mną kochać?

Roześmiała się i określiła na pięcie.

- Bezwzględnie dopiszę to do planu na wieczór. Najpierw jednak zbuduję zamek z piasku.

- Zamek z piasku?

- Ogromny - oznajmiła i przyklekła. - Budowa zamków z piasku to jeden z moich nielicznych talentów. Choć lepiej bym sobie poradziła, gdybym miała łopatę i wiadro. Które można znaleźć w pralni - dodała, zerkając na niego spod rzęs.

- Podejrzewam, że w tej konkretnej sytuacji odznaczam się dość wǳrpliwościami talentami, więc moim zadaniem jest przyniesienie narzędzi.

- Masz dłuższe nogi, więc szybciej to zrobisz.

- To fakt bezdyskusyjny.

Po chwili wrócił z łopatą, wiadrem i butelką wina.

Kiedy na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy, Conal siedział i patrzył, jak Allena buduje zamek z piasku.

- Na tym końcu powinien mieć baszty - powiedział. - Zostawiłaś go bez obrony.

- To zamek, nie forteca, a w moim świątku panuje pokój. Z drugiej strony wydawałoby się, że sławny artysta da radę zbudować wieżę, jeśli uważa ją za potrzebną.

Conal dopił wino, wetknął kieliszek w piasek i podjął wyzwanie.

Dodała kilka wieżyczek, starannie je modelując i wyglądając końcem łopaty. Porwana jego talentem i zrecznością o wiele przewyższającą jej umiejętności, zaczęła wznosić skomplikowaną budowlę.

- Chciałbym wiedzieć, co ta gruda ma przedstawiać?

- To stajnie czy raczej będą nimi, jak skończyć.

- Żle wychyłaś proporcje. - Zamierzał jej pokazać błąd, ale dostał kłapa sa w dłoń. - Jak chcesz, ale konie musiałyby być wielkie jak Hugh, żeby tu pasowały.

Prchnęła, kotłując się na piętach. Cholera, on ma rację.

- Jeszcze nie skończyłam - oznajmiła chłodno, biorąc w dłoń piasek. - A to co niby ma być?

- Most zwodzony.

- Most zwodzony? - Zachwyciona, pochyliła się, by obejrzeć platformę, którą ulepił szybkimi, zręcznymi ruchami. - To cudowne. Bez dwóch zdań masz talent do budowania zamków z piasku. Wiem, czego tu potrzeba.

Podniosła się i pobiegła do domu. Wróciła z zapalkami i kawałkiem czarwonej wstążki wyciętym w trójkąt.

- Łańcuch byłby lepszy, ale potraktujemy sprawę nowatorsko. - Jeden koniec zapalki wcisnęła w bok mostu, drugi w ścianę zamku. - Na szczęście królewska rodzina wydaje właśnie bal, więc most jest opuszczony. - Drugą zapalkę umieściła z drugiej strony mostu. Trzecią zlamala, owinęła wokół niej wstążkę, po czym zatknęła tę prowizoryczną chorągiew na najwyższej wieży. - No i mamy zamek z piasku. - Wzięła butelkę i nalala obojgu wina. - Za Zamek Dolmana. - Marzenie, które wspólnie zrealizowaliście, pomyślała. Stuknęła się kieliszkiem z Conalem i podciągnawszy kolana, zapatrzyła się w morze.

- Co za cudowna noc, tyle gwiazd. W Nowym Jorku nie widać takiego nieba, tylko kawałki oddzielone budynkami, dlatego łatwo zapomnieć, jakie jest wielkie.

- Kiedy byłem chłopcem, w takie noce jak ta przychodziłem tu i patrzyłem.

Odwrociła głowę i oparła policzek o kolano.

- Co jeszcze robieś, jak byłeś chłopcem?

- Wspinalem się na klify, bawiłem z kolegami z wioski, dokładałem starych, żeby wymigać się od obowiązków, choć mniej czasu i wysiłku kosztowały mnie ich wykonanie. Łowiłem ryby z ojcem.

Zapadł w głębokie milczenie. Allena ujęła go za rękę.

- Brakuje ci go.

- Zostawiłem go samego. Nie wiedziałem, że przez ten ostatni rok był chory. Nie powiedział mi, nie poprosił, żeby wrócił i zaopiekował się nim. Wołał umrzeć w samotności niż mnie poprosić.

- Wiedział, że wróciłbyś.

- Powinien był mi powiedzieć. Mogłem zawieźć go do Dublina, do specjalistów.

- To zawsze jest trudniejsze dla tych, którzy zostają - szepnęła. - On chciał być tutaj, Conal. Chciał tu umrzeć.

- O tak, pragnął umrzeć tutaj, taki był jego wybór. Wiedział, że jest chory i słaby, a chodził po klifach. W tym kamiennym tanecznym kręgu jego serce nie wytrzymało. Taki był jego wybór.

- Jesteś z tego powodu zły.

- Czuję się bezradny, co mnie drażni. Tesknię za nim, żałuję, że rozdzieliły nas czas i odległość, które ja między nami postawiłem. Zamiast przyjechać, pozostałem mu pieniądże. A on zostawił mi wszystko. Dom i Hugh. - Odwrócił się do Alleny i pocałował za łancuszek na jej szyi. Kiedy wisiorek się zsunął, dodał: - I to. Zostawił to dla mnie w drewnianej szkatułce, która stoi na komodzie w sypialni.

Poczuła chłodny dreszcz.

- Nie rozumiem.

- Dostał ten wisiorek od swojej matki na osiemnaste urodziny, tak samo jak ona go dostała. Dał go mojej matce w dniu, w którym poprosił ją o rękę w kamiennym kręgu, zgodnie z tradycją O'Neillów. Nigdy go nie zdejmowała. Oddała go ojcu, by zatrzymał go dla mnie, tej nocy, gdy umarła.

Wytropiony w Kotle Dagdy. Zrobiony przez samego Merlina.

- Jest twój - mruknęła.

- Nie, nie należy już do mnie, nigdy do mnie nie należał, bo odmówiłem przyjęcia go. W dniu gdy pochowałem ojca, przyszedłem tutaj i wrzuciłem wisiorek do morza. Powiedziałem sobie, że to ostatecznie zakończy sprawę.

"Jest tylko jeden", oznajmiła Allena starszka. Teraz należy do niej. Znalazła go lub raczej wisiorek ją znalazł. I zaprowadził do Conala. Jakże mogła czuć coś innego poza radością, wiedząc o tym? I jak, będąc sobą, Co-
nal mógł czuć coś innego poza gniewem?

Dla niej to był klucz. Dla niego zamknięcie.

- Nie wiem, jak cię pocieszyć. - Dotknęła jego policzka.

- Ja też nie wiem. - Wstał i pomógł jej podnieść się z piasku. - Dość o tym na dzisiaj. Żadnych zamków i gwiazd. Chęć tego, co rzeczywiście. Moje pożą-
danie jest rzeczywiste. - Wziął ją w ramiona. - Tak samo jak ty.

W Nie mogła spać. Nieistotne, jak krótka jest ta noc, nie zniostaby, gdyby zmarowała ją na sen. Leżała więc cicho, przeżywając na nowo każdą chwilę minionego dnia.

Zakończyli go miłością. Ich pieszczoty nie były jednak delikatne i czułe jak za pierwszym razem. Wyczuwała rozpaczk Conala i gwałtowną, nagłą potrzebę, która z niego przeniosła się na nią, tak że jej dłonie stały się równie niecierpliwie jak jego, usta tak samo głodne.

A jej ciało, myślała Allena, och, jej ciało nigdy dotąd nie było tak pełne życia.

Ten rodzaj pragnienia to odmiana piękna, czyż nie? Potrzeba tak głęboka i tak silna potrafi zapuścić trwałe korzenie.

Więc dlaczego on nie chce pozwolić sobie na miłość do niej?

Gdy odwróciła się ku niemu, przytulił ją mocno we śnie. Pragnęła powie-
dzieć: Jestem tutaj. To moje miejsce, wiem o tym.

Zachowała jednak te słowa dla siebie i tylko przycisnęła wargi do jego ust. Łagodnie, uwodzicielsko, biorąc to, czego pragnęła, i oddając mu się w zamian cała. Wolno i jedwabście otulił ich zar.

Conal dał się ponieść pożądaniu, jak człowiek błędzący we mgle. Powie-
trze było gęste i słodkie, a ona czekała na niego. Ciepła i chętna. I rzeczy-
wista.

Słyszał jej urwany oddech, serce bijące w rytm jego serca. Poruszała się pod nim, rzucając na niego urok w ciemności.

Kiedy w nią wszedł, przyjechała go z ochota, jakby wrócił do domu. Jednocześnie unosili się i opadali, płynnie i rytmicznie. Ich usta znowu się spotkały, gdy wyczuł, jak Allena osiąga szczyt. Sam się wtedy zatracił, oddał jej siebie.

- Alleno. - Tylko tyle powiedział, przytulając ją mocno do siebie. Ukojo-
ny i spokojny, zapadł w sen, nie wiedząc, że ona płacze.

Przed świtem wstała, bojąc się, że jeśli dłużej zostanie z nim w ciemno-
ści, zacznie prosić; a bardziej jeszcze obawiając się, że jeśli on zaotteruje jej jakiś marny substytut miłości i wspólnego życia, ona załobnie to przyjmie.

Cicho się ubrała i wyszła, by przed chatą czekać na porządek najdłuższe-
go dnia.

Na niebie nie było księżycy ani gwiazd, nic nie miało nieskończonej
ciemności. Allena dostrzegła zarys łądu opadającego ku falującemu morzu

i potężne cienie poszarpanych klifów na zachodzie, gdzie wznosił się kamien-ny krąg. On też czekał.

Na szyi czuła ciężar wisiorka.

Pozostało tylko kilka godzin, pomyślała. Nie straci jednak nadziei, choć trudno było ją zachować w tej mrocznej i samotnej godzinie. Została tu przysłana, sprowadzona, ale to nie miało znaczenia. Znaczenie miało tylko to, że tu przybyła i tu odnalazła wszystkie potrzebne jej odpowiedzi.

Musiata tylko wierzyć, że Conal odnajdzie swoje w ciągu tego jedynego dnia, jaki im pozostał.

Obserwowała, jak wstaje świt, jak wolno, niemal ukradkiem pojawiają się pierwsze promienie światła. Mgła uniosła się nad ziemią niczym włągót na kurtyna. Na wschodzie zapłonęły złote plomienie i rozprzeszczerzyły się po całym niebie, zmieniając barwę na czerwoną i jaśniejąc, aż wreszcie świat się obudził.

Powietrze z szarego stało się perłowe.

Z zamku na plaży nie pozostał ślad, zmył go przypływ. Serce ją zabolalo, że można tak łatwo pewne rzeczy usunąć.

Wróciła do domu.

Musiata zając czymś ręce i umysł. Nic nie mogła poradzić na stan swojego serca, ale postanowiła, że dzisiaj, w tym wyjątkowym dniu, nie będzie się martwić.

Kiedy przycłapał Hugh, wypuściła go na dwór, żeby sobie pobiegał. Na-stawiła wodę na herbatę; wiedziała już, jaką lubi Conal: bardzo mocną, bez cukru czy śmietanki.

Wyjęła z kredensu garnek. Conal wspominał, że o tej porze roku dojrze-wają jagody. Jeśli uda jej się dość ich nabierać, będą mieli na śniadanie świeże owoce.

Wyszła z domu, minęła grządki z ziołami i rozłożywszy krzak pokryty stoż-kowatymi fioletowymi kwiatami, które intensywnie pachniały. Ciekawe, jak by wyglądały zasuszone i ułożone w wielkim miedzianym wazonie.

Wokół jej kostek snuła się mgła i Allena pomyślała, że brodzi w płytkiej rzece. Wiatr nie rozwiwał białego obłoku, choć unosił jej włosy, gdy wchodziła na łagodne zbrocze za domem. Z oddali dobiegało gardłowe warczenie Hugh, gdzieś bliżej cwierkał ptak, a w tle jak zawsze szumiało morze.

Kierowana impulsem, zdjęła buty i ruszyła bosą po zimnej mokrej trawie. Ścieżka poprowadziła ją w dół, by zaraz znowu się wzniesić; teraz bardziej strono. Mgła gestniała, układając się mlecznymi warstwami. Allena obejrzała się i ledwo dostrzegła daleko w tle zarys chatki. Poczula dreszcz i o mało nie zawróciła, ale gdzieś z przodu rozległo się szczenie psa.

Zawołała Hugh i poszła za jego głosem. Na szczycie kolejnego wzniesie-nia zobaczyła kępę przewróconych przez wiatr drzew, a koło nich krzewy je-zyn i krzaczkę jagód.

Zadwołona z odkrycia, zaczęła je zbierać i jeść. Wspinając się coraz wyżej, tam gdzie owoców było najwięcej. Pomyślała, że zrobi naleśniki, a jagody wsypie do ciasta.

Garnek był już w połowie pełny, gdy wdrapała się na skałę, gdzie rósł sa-motny krzak, ciężki od dorodnych fioletowych jagód.

– Najbardziej nęcące są zawsze te, które znajdują się poza naszym zasię-giem.

Allenie zabrakło tchu i o mało nie upuściła garnka na widok kobiety sto-jącej na wąskiej ścieżce po drugiej stronie krzewu.

Miała długie do pasa ciemne włosy, a oczy zielone jak ocean o świcie. Z uśmiechem położyła dłoń na białe Hugh, który spokojnie przy niej siedział.

– Nie miałam pojęcia, że ktoś tu jest – powiedziała Allena, w myślach do-dając: że ktoś może tu być. – Ja... – Z niejakim przestrachem obejrzała się, lecz nie mogła dostrzec stąd chatki. – Nie zdawałam sobie sprawy, że tak da-leko się zapuściłam.

– To dobry poranek na spacer i zbieranie jagód. Z tych, co masz w gar-nku, będzie doskonały dzem.

– Za dużo nabierałam. Myślałam o czymś innym.

Twarz kobiety złagodniała.

– Nie możesz nabierać za dużo, jeśli ktoś je zje. Nie denerwuj się – po-wiedziała cicho. – On jeszcze się nie obudził. Kiedyś śpi, w jego umyśle panu-je spokój.

Allena odetchnęła głośno.

– Kim pani jest?

– Tym, kto jest ci akurat potrzebny. Staruszka ze sklepu, chłopcem z łodzi.

– Och. – Czując, jak drżą jej kolana, Allena przysiadła na skale. – Boże.

– Ale to nie powinno cię przerażać. Nikt nie chce cię skrzywdzić. Ani cie-bie, ani jego. On jest szczęśliwym człowiekiem.

– Jego prababka. Powiedział... ludzie mówią...

Kobieta uśmiechnęła się szeroko i pokiwiała głową.

– Istotnie, mówią.

Starając się odzyskać panowanie nad sobą, Allena wysunęła spod bluzy wisiorzek.

– To należy do pani.

– To należy do osoby, do której należy... aż będzie należało do innej.

– Conal powiedział, że wrzucił wisiorzek do morza.

– Ależ ten chłopak ma temperament. – Jej śmiech był lekki i puszysty jak śmietana. – Jestem z niego dumna. Mogłby rzucić wisiorzek na księżyc, a mi-mo to w odpowiedniej porze powróciłby do osoby, do której powinien nale-żeć. Tym razem jesteś nią ty.

– On nie chce mnie kochać.

– Dziecko. – Kobieta pogładziła Allene po policzku; było to jak musnięcie skrzydła. – Miłości nie można odrzucić siłą woli. Ona po prostu istnieje i ty już o tym wiesz. Masz ciepłe serce.

– Niekiedy cierpliwość to rechorzostwo.

– To mądre. – Kobieta pokiwiała głową, wyraźnie zadwołona, i poczęsto-wała się jagodą z gararka. – I prawdziwe. Ale ty już go rozumiesz i zaczynasz rozumieć siebie, co zawsze jest o wiele trudniejsze. Wiele dokonałaś, zwa-żwszy, jak mało miałaś czasu. I kochasz go.

- Tak, kocham go. On jednak nie zgodzi się przyjąć miłości poprzez magię.
- Dzisiaj wieczorem, gdy najdłuższy dzień spotka się z najkrótszą nocą, kiedy gwiazda rozbysśnie całą swą mocą i potęgą, wybór, jakiego oboje dokonacie, będzie taki, jaki zawsze miał być. - Ujęła twarz Allena w dlonie i ucierała ją w oba policzki. - Twoje serce będzie wiedziało - dodała i zniknęła we mgle jak duch.

- Jak? - Allena zamknęła oczy. - Nie dała nam pani dość czasu.
Hugh trącił ją łbem w kolanach, pochyliła się więc i ukryła twarz w jego sierści.

- Za mało czasu - mruknęła. - Ale też za mało, żeby się martwić. Nie mam pojęcia, co robić, wiem tylko, że teraz pora na śniadanie.

Wróciła drótką, którą przysłała, z nieodstępnym Hugh u boku. Mgła rozpraszała się, rzędnia. Wyglądało na to, że przeznaczenie zdecydowało o jeszcze jednym pogodnym dniu.

Kiedy w zasięgu wzroku pojawiła się chatka, Allena zobaczyła, że na tylnym ganku czeka na nią Conal.

- Martwiłem się o ciebie. - Wszedł jej na spotkanie, świadomy, że ulga, którą odczuwa, jest nieproporcjonalna do sytuacji. - Czemu włożyłaś się w mgłę?

- Zbierałam jagody. - Pokazała mu garnek. - Nigdy nie zgadniesz, co... - Urwała, widząc, że jego wzrok wędruje ku wisiorce.

- Czego nigdy nie zgadnę?

Nie, pomyślała, nie może mu powiedzieć, kogo spotkała. Nie może, bo jego oczy zasnują cienie, a jej ramie się serce na ten widok.

- Co będzie na śniadanie?

- Jagody? - Zanurzył dłoń w garnku.

- Patrz - powiedziała, wchodząc do domu. - I ucz się.

Patrzył więc i czuł, jak ogarnia go spokój. Obudzili się, stukając jej koło siebie, i to go poruszyło. Jak to możliwe, że mężczyzna po jednej nocy z kobietą przekonuje się, że jego łóżko jest puste i zimne, kiedy jej nie ma? A potem ta panka, ściskająca mu serce, gdy nigdzie nie mógł jej znaleźć. Teraz tu była, mieszała ciasto w misce i świat wrócił do normy.

Czy można nazwać to inaczej niż miłością?

- Potrzebna ci płyta do naleśników. - Postawiła patelnię na ogniu, by się rozgrzała. - Ale jakoś sobie poradzimy.

- Alleno.

- Hmm? - Obejrzała się na niego. Coś w jego oczach sprawiło, że zakrepiła to jej się w głowie. - Tak? - Kiedy się odwróciła, wisiorak zakotywał się, odbijając promienie słońca.

Conalowi wydało się, że gwiazda błyska mu prosto w oczy, dręcząc go. Choć nie wykonał żadnego ruchu, jednak rozmyslnie się wycofał. Nie będzie mówił o miłości.

- Gdzie masz buty?

- Buty? - Mówił tak łagodnie, tak czule, że pod powiekami poczuła pieczenie. Spojrzała na swoje stopy. - Musiałam je zostawić w sypialni. Ależ jestem niemądrą!

- Więc wędrowałaś bosą po rosie, śliczna Alleno?

Słowa uwięzły jej w gardle. Zarzuciła mu ręce na szyję, chowając twarz na jego ramieniu. W sercu czuła burzę.

- Alleno. - Przycisnął usta do jej włosów, żalując, że dla dobra obojga nie potrafi zerwać łańcucha opasującego mu serce. - Co mam z tobą zrobić? Kochać mnie. Po prostu kochać. Z resztą sama dam sobie radę.

- Mogę dać ci szczęście. Gdybyś tylko mi pozwolił, uczyniłabym cię szczęśliwym.

- A co z tobą? W tej sprawie jest nas dwoje. Jak możesz wierzyć w to, co ci powiedziałem, godzić się z tym i być gotową z tego powodu zmienić swoje życie? - Odsunął ją od siebie i musnął palcem wisiorak. - Jak możesz, Alleno, z taką łatwością w to wierzyć?

- Bo wisiorak należy do mnie - odrzekła drżącym głosem. - Dopóki nie będzie należał do innej osoby. - Jakoś zdołała się opanować. Z szuflady wyjęła chochlę i nalala ciasta na patelnię. - Uważasz, że jestem naiwna i łatwowierna, że tak bardzo pragnę miłości, iż uwierzę we wszystko, co daje mi choćby cień szansy?

- Myślę, że masz czułe serce.

- I uległe? - Zaskoczyło go chłodne spojrzenie, które mu posłała. - Nie wykluczone, że masz rację. Serce staje się uległe, jeśli próbujesz dostosować się do wymagań ludzi, których kochasz, by w ten sposób zyskać ich wzajemność. I mam nadzieję, że mi się to uda, wolę jednak serce, na którym odciążą się uczucia innych.

Cierpliwe serce, pomyślała, ale na Boga, na pewno nie tchórzliwe.

Zrecznie odwróciła naleśniki na drugą stronę.

- Co sprawiło, że twoje serce stwardniało, Conal?

- Celnie trafiasz, gdy decydujesz się wypuścić strzałę.

- Może dotąd zbył rzadko sięgałam do koczczana. - Teraz się to zmieni. Nieśpiesznie przelożyła naleśniki na talerz i nalala kolejną porcję ciasta na patelnię. - Dlaczego nigdy nie mówisz o matce?

Strzał w dziesiątkę, pomyślał, bez słowa patrząc, jak Allena nakrywa do stołu.

- Mam prawo wiedzieć.

- Istotnie, masz.

Wyjęła z szafki miód i cynamon, nalala herbatę do filiżanek.

- Usiądź. Śniadanie ci wystygnie.

Posłuchał z wymuszonym uśmiechem. Była zagadką, dlaczego uwierzył, że udało mu się ją rozwiązać? Poczekał, aż Allena przeloży naleśniki na talerz i usiądzie przy stole.

- Moja matka pochodziła z pobliskiej wioski - zaczął mówić. - Jej ojciec był rybakiem, a matka umarła przy porodzie, gdy mama była mała. Dziecko też umarło, więc jako najmłodszą w rodzinie i jedyną dziewczynkę bractwa i ojciec ją rozpieszczali.

- Masz wujków w tej wiosce?

- Tak, trzech. Mieszkają tam z rodzinami, chociaż kilkoro ich dzieci wyjechało do Dublina albo dalej.

Polała naleśniki miodem i podała butelkę Conalowi. Ma rodzinę, pomys-
lała, a mimo to żyje samotnie.

- Więc w wiosce mieszkają też twoi kuzyni?

- Kilkoro z nich. Bawiliśmy się razem w dzieciństwie. Od nich po raz pierwszy usłyszałem o moim przeznaczeniu. Brałem to za legendę, wymyślo-
ną historię w rodzaju tych, które mówią o elfach, syrenach i wróżkach. - Jaki,
ponieważ jedzenie stało przed nim, a Allena zadała sobie trud, by je przyrzą-
dzić. - Mama lubiła rysować i nauczyła mnie, jak widzieć różne rzeczy. I jak
sprawić, by to, co widzę, pojawiło się na papierze za sprawą pióra czy kredki.
Ojciec kochał morze i myślał, że pójdę w jego ślady. Ale mama na ósme uro-
dziny dała mi glinę. I ja... - Zamilkł, uniósł dlonie i przyjrzał się im przez
zmruczone powieki. Były jak dlonie jego ojca: wielkie, delikatne i silne. Nie
zostały jednak stworzone do zarzucania sieci. - Formowanie gliny, odkrywa-
nie, co w sobie kryje... To mnie pochłonięło. I rzeźbienie w drewnie, a potem
pokazywanie innym ludziom, co w nim dostrzegłem. Mama to rozumiała.
Wiedziała.

- Ojciec był rozczarowany?

- Raczej zdziwiony. - Conal wzruszył ramionami, znowu wziął do ręki wi-
delec. - Bo jak człowiek może zarobić na życie, strugając coś z drewna albo
lupiąc kamienie? Mama jednak była zadowolona, więc nie protestował. Ro-
bił to dla niej, a także dlatego, jak dowiedziałem się później, że jego zda-
niem mój los był z góry przesądzony. Tak więc w ostatecznym rachunku nie
miało znaczenia, czy będę rzeźbił, czy łowił ryby.

Zamilkł i utkwiał wzrok w wisiorze. Allena wsunęła go pod bluzę. Czując
na sercu jego żar, czekała, aż Conal podejmie opowieść.

10

Po moim urodzeniu rodzice starali się o kolejne dzieci. Mama dwa razy po-
roniła, a to drugie poronienie, do którego doszło, gdy była w zaawansowanej
ciąży... zniszczyło jej zdrowie. Byłem mały, ale pamiętam, że musiała długo
leżeć w łóżku, pamiętam, jaka była blada, gdy w końcu zaczęła chodzić. Ni-
gdy już nie czuła się dobrze, ale o tym nie wiedziałem.

- Byłeś dzieckiem. - Kiedy dotknęła jego dloni, uśmiechnął się smutno.
- Masz czule serce, Alleno. - Zamknął jej palce w swoich, uścisnął i wy-
puścił. - Była chora tego roku, gdy miałem dwanaście lat. Tamtej wiosny oj-
ciec trzykrotnie woził ją promem do lekarzy, a ja mieszkalem u kuzynów.
Umierała i nikt nie potrafił znaleźć sposobu, by ją uratować. Jakaś cząstka
mnie zdawała sobie z tego sprawę, lecz odpychałem tę myśl. Zawsze kiedy
wracała do domu, byłem przekonany, że wszystko w porządku.

- Biedny maly chłopcik - mruknęła Allena.

- Nie zasługuję tak bardzo na współczucie, jak sądzisz. Tego lata, gdy
miałem dwanaście lat, poszła ze mną nad morze. Powinna leżeć w łóżku, ale
się uparta. Opowiedziała mi o kamiennym kręgu, gwieździe i moim miejscu
w całej tej historii. Pokazała wisior, który teraz nosisz, chociaż widywałem
go niezliczoną ilość razy. Zamknęła na nim moją dłoń i poczułem, jak srebro
oddycha.

Byłem bardzo zły. Nie różniłem się wcale od innych chłopców, których
znałem, moich kuzynów i kolegów. Dlatego więc mi to mówiła? Powiedzia-
ła, że jestem jeszcze za mały, żeby go dostać, ale przedyskutowali całą spr-
wę z moim ojcem. Zgodził się, aby sama wybrała porę i sposób. Chciała dać
mi wisior, nim od nas odejdzie.

- A ty go nie chciałeś.

- Nie, na Boga, nie chciałem. Chciałem, żeby nie umierała, żeby wszystko
pozostało po staremu, jak dawniej, kiedy mama była zdrowa, a ja biegałem
po wzgórzach. Chciałem, żeby znowu śpiewała w kuchni.

Allena wspaniała mu całym sercem, kiedy tylko jednak wyciągnęła rękę, Co-
nal się odsunął.

- Nakrzyczałem na nią, a potem uciekłem. Wolała za mną i próbowała
mnie gonić, ale ja byłem silny i zdrowy, a ona nie. Chociaż słyszałem jej
płacz, nie patrzyłem za siebie. Ukryłem się w szopie na łodzi wuja. Dopiero
następnego dnia rano ojciec mnie tam znalazł.

Nie spuścił mi łania, jak mogłbym się spodziewać, ani nie zaciągnął za ucho do domu, na co zasługowałem. Usiadł obok, przytulił mnie i powiedział, że mama w nocy umarła.

Szeroko otwartymi oczami spojrzal na Allena. Zdziwiła się, że płonący w nich ogień nie wysuszył też wypełniających jej oczy.

- Kochałem ją. A ostatnie słowa, jakie do niej powiedziałem, były pełne gniewu i złości.

- Myślisz, że... och, Conal, naprawdę uważasz, że właśnie te słowa zabrała ze sobą?

- Zostawiłem ją samą.

- I wciąż obwiniasz przerażonego i zagubionego dwunastoletka? Wstydzilibyś się takiego braku współczucia.

Jej słowa sprawiły, że podskoczył. Oboje wstali.

- Wiele lat później, jako dorosły mężczyzna, tak samo potraktowałem ojca.

- To rozczulanie się nad sobą, a w dodatku nieprawda. - Szybko pozbierała talerze i zaniosła do zlewu. Uświadomiła sobie, że Conalowi nie potrzeba współczucia, tylko prostej, okrutnej prawdy. - Sam mówiłeś, że nie wiedziałeś o jego chorobie. Nie powiedział ci. - Nalata do zlewu gorącej wody i dodała płyn do zmywania, wpatrując się w pianę. - Przeklinasz pomysł, że w twoich żyłach płynie - jak to nazwałeś? - krew elfów, ale wygląda na to, że cholernie ci odpowiada rola boga.

Gdyby walnęła go patelnią w głowę, byłby mniej szokowany.

- Łatwo ci tak mówić, skoro jutro możesz stąd odejść.

- To prawda, mogę. - Odwrócił się ku niemu. - Mogę zrobić, co będę chciała. I tobie powinnam za to podziękować, bo pomogłeś mi zrozumieć sprawy, na które sama się godziłam, pokazałeś, że mam coś cennego, co mogę dać innym. A ja chcę to komuś dać, Conal. Chcę stworzyć dom, zahaczyć rodzinę, żyć z kimś, kto będzie mnie szanował, rozumiał i kochał. Nigdy się nie zgodzę na mniej. Za to ty tak. Wciąż kryjesz się w tej szopie z lodziami, tylko że teraz nazywasz ją atelier.

W jego gardle kłębiły się gniewne, nienawistne słowa. Nie był już jednak tamtym chłopcem, zastąpił je więc dotkliwszym i głębiej raniącym łodem.

- Odpowiedziałem na twoje pytania. Rozumiem, czego pragniesz, ale nie masz najmniejszego pojęcia o tym, czego chcę ja.

I wyszedł, pozwalając, by drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

- Myślisz się - szeptnęła Allena. - Doskonale to rozumiem.

Przez całe rano pracowała. Jeśli istotnie następnego dnia będzie musiała odejść, coś po sobie tutaj pozostawi. Conal nie będzie mógł o niej zapomnieć.

Zawiesiła firanki, które wcześniej pocerowała, uciészona z wzorów, jakie wpadające przez nie słońce rysowało na podłodze. W pralni znalazła pedzle i inne potrzebne rzeczy. Pełna determinacji, wyniosła je na podwórze. Miała zamiar wyczyścić i pomalować te przekłete okiennice.

Praca ją uspokoiła, lecz to uległe serce, o którym mówiła, zaczęło boleć. Co jakiś czas ogłądała się na pracownię. On tam był. Gdzie indziej zresztą

miałby być? Chociaż jakas jej część chciała się poddać, iść do niego, to przecież rozumiała jego postępowanie.

Potrzebował czasu.

- Ale coraz go mniej - mrugnęła. Zrobiła krok do tyłu, przyglądając się efektom swojej pracy. Mokra farba połyskiwała, za oknem powiewała koronkowa firanka.

Teraz, kiedy nic nie pozostało już do zrobienia, ogarnęło ją wielkie znużenie. Niemal potykając się na ścieżce, ruszyła do domu. Na chwilę się położy, zapie trochę snu po bezsennej nocy.

Tylko godzinka, powiedziała sobie, wyciągając się na łóżku. W następnej chwili spała już głęboko.

Conal przyjrzał się swemu dziełu. Dłonie miał oblepione gliną, oczy pełne skupienia.

„Allena Wróżka”. Stała wysoka i smukła, z odchyloną głową, migdałowymi oczami i ustami kryjącymi tajemnice. Nie była piękna, bo wcale nie miała być. Ale czyż ktokolwiek mógłby odwrócić od niej wzrok?

Czy on mógł?

Rozpościerała skrzydła, jakby za chwili miała odlecieć. Albo na nowo je złożyć, jeśli ją poprosisz.

On jej nie poprosi. Nie w sytuacji, gdy znajdowała się we władzy czegoś, co było poza nimi obojgiem.

Boże, ta kobieta doprowadza go do wściekłości! Podszedł do zlewu i zaczął szorować ręce. Ciągle mu docina, mówi, co on czuje i myśli. A przecież Conal ma własny rozum i podjął już decyzję. Nie zrobił nic poza wyjaśnieniem jej całej prawdy, od początku do końca.

Zależało mu na spokoju i pracy. I własnej dumie, pomyślał. Dumie, która nie pozwalała mu pogodzić się z myślą, że jego droga została już kiedyś wytyczona. Czy w ostatecznym rozrachunku tylko to mu pozostanie?

Przed nim rozciągała się zdumiewająco głęboka pustka. Więc na tym w końcu ma polegać wybór? Wszystkie lub nie? Poddanie się losowi albo samoność?

Drzącymi dłońmi wziął ręcznik i zaczął się wycierać, ze wzrokiem utkwionym w glinianej trzeźbie.

- Ty o tym wiesz, prawda? Wiedziałaś od początku.

Rzucił ręcznik na podłogę i podszedł do drzwi. Światło uległo zmianie, poszarzało. Na niebie pojawiły się burzowe chmury, rzucające cienie na morze.

Kiedy spojrzal na chata, stanął jak wryty. Pomalowała okiennice, tylko ta myśl krążyła mu w głowie. Zawieszona przez nią firanki wesoło tańczyły w coraz silniejszych podmuchach wiatru. Kolo drzwi umieszcza kosz pełen kwiatów.

Czy jakikolwiek mężczyzna zdolaby odrzucić taką kobietę?

Jak może uważać to za pułapkę, skoro Allena niczego, nawet samej siebie, nie trzymała pod strażą? Otwierała się przed nim i szła ku niemu z sercem na dłoni.

Wszystko albo nic? Dlaczego miałby żyć z nicością?

Ruszył w stronę chaty. Od drzwi dzieliły go trzy kroki, gdy się przekonał, że wyrosła przed nim niewidzialna bariera.

- Nie. - W jego głosie brzmiał gniew i poczucie odrzucenia. Na próżno był pięściami powietrze. - A niech cię diabli! Więc teraz nie chcesz dopuścić mnie do niej?

Zawołał Allene, lecz podmuch wiatru porwał jej imię. Na ziemię spadły pierwsze krople deszczu.

- Więc dobrze. Niech tak będzie. - Conal odwrócił się, z trudem łapiąc powietrze. - Zobaczymy, czym ten dzień się zakończy.

I ruszył tam, gdzie wołała go krew.

Obudziła się przestraszona, słysząc echo swego imienia. Za oknami zapadła ciemność.

- Conal? - Wstała zdezorientowana i przycisnęła wyłącznik lampy, ale mroku nie rozjaśniło światło. To ta burza, pomyślała oszolomiona. Trzeba po-zamykać okna.

Po omacku zaczęła szukać świecy, lecz nagle dłoń jej drgnęła i wszystko spadło ze stolika.

Ciemno? Jak to możliwe, że jest ciemno?

Która godzina? Gorączkowo przesuwała dłonią po podłodze i w końcu znalazła zapalki. Nim zdążyła zapalić jedną, w świetle błyskawicy dostrzegła tarczę buzdziaka.

Jedenasta.

Niel! To niemożliwe. Przespała cały najdłuższy dzień, z którego teraz została jej tylko godzina.

- Conal? - Wybiegła z pokoju, z domu, prosto w burzę i wiatr. Przemoczo-na do nitki, szarpnęła za drzwi pracowni.

Nie było go. Odszedł. Walcząc z rozpaczą, po omacku dotarła do półki, na której wcześniej widziała latarkę.

Wąski snop światła sprawił, że oderchnęła z ulgą. I natychmiast zabrakło jej tchu, gdy zobaczyła przed sobą rzeźbę.

Jej twarz i postać ze skrzydłami u ramion. Czy on tak właśnie ją widzi? Czy w jego oczach jest mądra, pewna siebie i śliczna?

Tak się czuła. Po raz pierwszy w życiu tak właśnie się czuła.

Wolnym ruchem zgasiła latarkę. Wiedziała już, dokąd poszedł, i w jakim sposób pojęła, że ona też powinna znaleźć drogę w ciemności, tak jak wcześniej Conal.

Świat oszalał, tak samo jak w dniu, gdy Allena dotarła na wyspę. Ziemia się trzęsła, niebiosy huczały, morze ryczało jak smok.

Zamiast strachu ogarnęła ją radość, że bierze udział w tym wspaniałym widowisku. Dzień nie zmieni się w noc bez niej. Zacziskając dłoń na gwiazdziej zawieszanej pomiędzy pierściami, ruszyła drogą, którą miała wyrzynać w głowie tak wyraźnie jak mapę.

Sieczka prowadząca przez skały była stronna, wyboista i śliska od deszczu. Allena jednak ani razu się nie zawahała, ani razu nie zachwiała w swym po-stanowieniu. Nad nią wznosiły się kamienie, olbrzymi tańczyły w burzy.

A pośrodku ich kręgu pomimo ulewnej deszczu płonął złotem ogień letnie-go przesilenia.

Zwrócony ku niemu stał cien.

Jej serce, tak jak mówiła ta staruszka, wiedziało.

- Conal.

Spojrzal na nią gwałtownym wzrokiem, jakby żywoły szalejące tej nocy także w tym się kłębiły.

- Alleno.

- Nie, najpierw to ja muszę coś ci powiedzieć. - Powoli zrobiła kilka kroków do przodu, chociaż powietrze drżało od grzmotów. - Zawsze istnieje wy-bór, zawsze jest jakaś inna droga. Myślisz, że chciałabym ciebie, nie mając twój serca? Myślisz, że próbowałabym cię tym zatrzymać?

Gwałtownym ruchem zerwała z szyi wisiorek i odrzuciła.

- Niel - Próbował go złapać, ale gwiazda musnęła tylko opuszki jego pal-ców i wyładowała w środku kręgu. - Potrafisz tak łatwo z niego zrezygnować? I ze mnie?

- Jeśli będę musiała. Mogę odejść, żyć bez ciebie, choć jakaś cząstka mnie na zawsze pozostanie pełna żalu. Albo mogę zostać, stworzyć z tobą dom, urodzić dzieci i kochać cię za to, kim jesteś. To mój wybór. Ty masz swój. - Wyciągnęła ramiona. - Nie mam nic prócz siebie, by cię zatrzymać. Nigdy nie miałam.

Poczuł, jak kłębią się w nim emocje.

- Dwukrotnie pozwolłem odejść ludziom, których kochałem. A przycho-dząc tu tej nocy, myślałem, że znowu mogę tak postąpić. - Odsunął mokre włosy z twarzy. - Jestem człowiekiem o zmiennym usposobieniu.

- Już raz mi to mówiłeś. W przeciwnym wypadku nigdy bym się nie do-myśliła.

Roześmiał się cicho.

- Nawet w takiej chwili korzystasz z okazji, żeby mi dociąć? - Zrobił krok w jej kierunku. - Pomalowałaś okiennice.

- I co z tego?

- Zrobię granatowe donice, żebyś miała w czym posadzić kwiaty.

- Dlaczego?

- Bo cię Kocham.

Otworzyła usta i zamknęła je z powrotem.

- Bo pomalowałam okiennice?

- Tak. Bo przyszło ci to do głowy. Bo zacerowałaś firanki mojej matki. Bo zbirasz jagody. Bo nago pływasz w morzu. Bo patrzysz na mnie i wi-dzisz, kim naprawdę jestem. To bez znaczenia, jaka siła kazala ci tu przyjsć. Ważne jest tylko to, co czujesz do siebie. Na Boga, proszę, nie od-chodź ode mnie.

- Kochany. - Burza w niej i wokół nich ucichła. - Wystarczy tylko, że po-prosisz.

- Powiadają, że tutaj działa magia, ale to ty ją sprowadziłaś. Czy mnie weźmiesz, Alleno? - Ujął ją za rękę. - Czy oddasz mi siebie? Stworzysz dom i urodzisz mi dzieci? Przystęgam, że będę cię kochał i szanował w każdej go-

dzinie każdego dnia. – Przycisnął usta do jej dłoni. – Utraciłem tak wiele, a ty mi to oddałaś. Oddałaś mi moje serce.

Więc jednak znalazł klucz, pomyślała Allena.

– Biorę sobie ciebie, Conalu, i oddaję ci siebie. – Oczy miała suche, czyste i spokojne. – Cokolwiek będziemy robić, będziemy robić razem. Przyrzekam kochać cię teraz i zawsze.

Kiedy zarzuciła mu ręce na szyję, mgła się rozstała. Na ciemnym morzu nieba zaczęła pulsować gwiazda. Ogień przygasł, zmienił się w złotą kałużę przetykaną czerwonymi jak rubin płomykami. Powietrze było ostre i chłodne, kamienie w kręgu rysowały się wyraźnie jak wycięte w szkło.

Rozległ się ich cichy śpiew.

– Słyszysz? – szepnęła Allena.

– Tak, tutaj. – Odwrócił ją i przycisnął mocno do siebie. Drżący promień gwiazdy najkrótszej nocy przebiegł pomiędzy kamieniami niczym strzała, podążając na spotkanie swej leżącej na ziemi bliźniaczki.

Wisiołek zapłonął błękitnym czystym ogniem. Kiedy gwiazda spotkała się z gwiazdą, krąg stał się światem pełnym blasku, dźwięku i mocy.

Najdłuższy dzień minął, przeszedł w najkrótszą noc. Światło zadrgało, złagodniało i zbladło. Kamienie ucichły.

Conal pociągnął ją w głąb kręgu. Ogień znowu zapłonął, odbił się w jej oczach, ogrzał skórę. Conal podniósł wisiołek i zapiął Allenie na szyi, pieczętując tym swoją przysięgę.

– Należy do ciebie, tak samo jak ja.

– Należy do mnie. – Przycisnęła ich splecione dłonie do wisiora. – Dopóki nie będzie należał do kogoś innego. Ja zawsze będę twoja.

Pocałowała go i wyszła z kręgu.

– Chodźmy do domu – powiedziała.

Niektórzy powiadają, że wróżki opuszczają swoje schronienia, by bawić się i tańczyć wokół ognia letniego przesilenia, podczas gdy gwiazda rzuca na nie swoje ostatnie promienie. Ci wszakże, co mieli magię w sercach i razem złożyli przysięgę, opuścili krąg, zeszli z klifu i cichą plażą ruszyli ku chatce z ciemnoniebieskimi okiennicami, która czekała nad morzem.